NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 8 lipca 1911. | Nr. 27.

Straszna katastrofa automobilowa.

(Treść na str. 2).



Straszna katastrofa automobilowa.

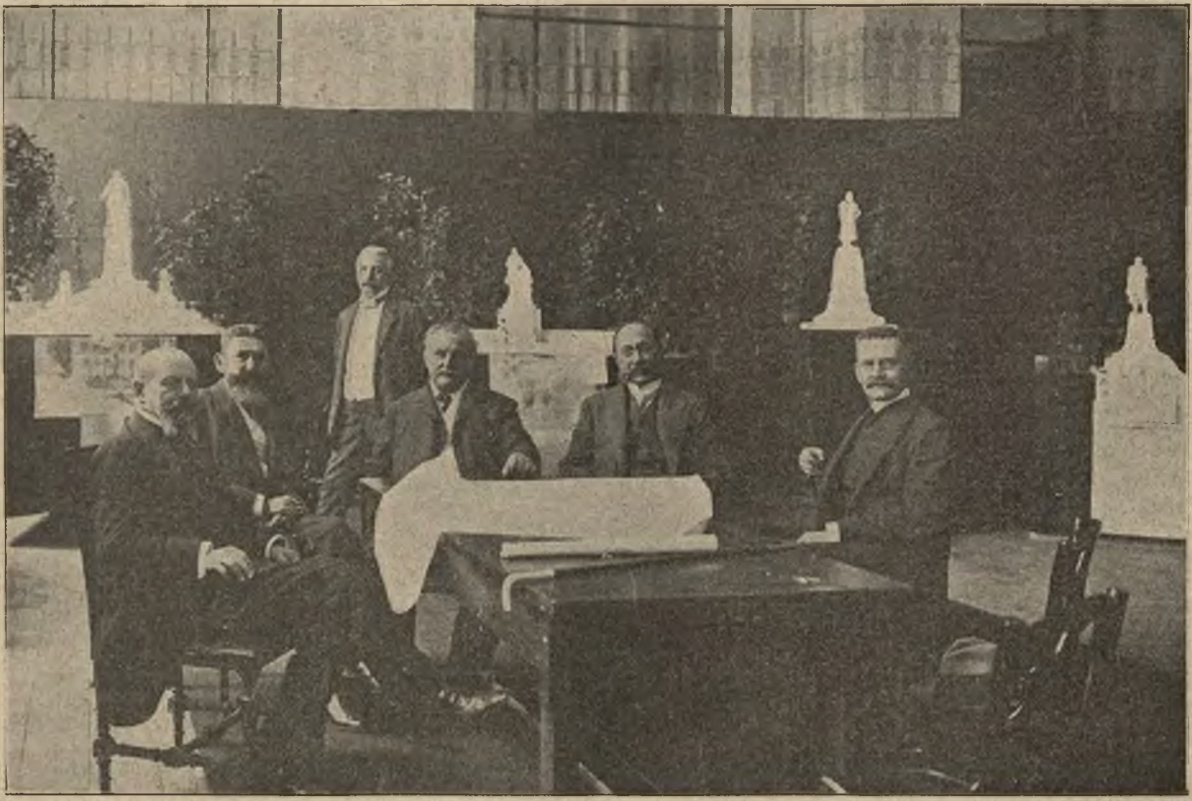
(Do illustracyi tytułowej).

W ubiegły czwartek wydarzyła się na szosie koło Alwerni okropna katastrofa automobilowa, której ofiarą padło trzech młodych ludzi z Oświęcimia. W wspomnianym dniu wybrał się mianowicie inżynier regulacyi Soły, Michał Bugielski, w towarzystwie koncypienta adwokackiego dr. Schlanką i komisarza starostwa tamtejszego p. Kubickiego, automobilem do Krakowa. Jechali bardzo szybko. Za wsią Kwaczałą pękł w automobilu pneumatyk, wskutek czego wóz zaczął wykonywać pewne wahania. Zobaczywszy to inżynier Bugielski, zahamował gwałtownie automobil, czego następstwem była fatalna katastrofa. Samochód bowiem, wstrzymany gwałtownie, nagle skręcił bardzo silnie, wywrócił zupełnego „kozła“, przyczem trzej jadący nim wypadli i dostali się pod ciężki wóz, który w tej chwili wrócił do pierwotnej pozycyi. Skutki wypadku były straszne. Inżynier Bugielski padł trupem na miejscu ze zdruzgotaną czaszką, dr. Schlank zaś odniósł bardzo ciężkie obrażenia i w stanie zupełnej nieprzytomności przewieziony został do Krakowa, jedynie komisarz Kubicki, odrzucony dalej, odniósł tylko powierzchowne kontuzye.

Wiadomość o okropnym wypadku doszła do Oświęcimia dość późno, ciężko ranni bowiem dr. Schlank i komisarz Kubicki nie mogli się ruszyć z miejsca. Dopiero pewien cyklista, który przypadkowo w tem miejscu się znalazł, posłyszał jęki poranionych, pospieszył z pierwszą pomocą i zawiadomił mieszkańców Alwerni o katastrofie, poczem o wypadku dano znać do Oświęcimia. Stamtąd wyruszyło zaraz na pomoc kilka osób, między innemi ojciec dra Schlanka, lekarz z Oświęcimia i drugi lekarz dr. Hanakowski. Zwłoki inżyniera Bugielskiego przewieziono do Oświęcimia, dra Schlanka, którego stan był bardzo groźny, na klinikę chirurgiczną w Krakowie, komisarz Kubicki zaś, który wyszedł z katastrofy względnie szczęśliwie, powrócił do Oświęcimia.

Wiadomość o strasznej katastrofie wywołała nie tylko w Oświęcimiu ale i w Krakowie, gdzie ofiary wypadku były ogólnie znane, głębokie wrażenie i żal szczery.

Zaznaczyć jeszcze należy, że pogłoski, jakoby ludność okoliczna nietylko nie pospieszyła z pomocą nieszczęśliwym, ale nawet ich obrabowała, są zgoła nieprawdziwe. Całą, znaczną gotówkę, znalezioną przy ś. p. Bugielskim, złożono w depozycie u naczelnika gminy Poręby.



O pomnik Smolki we Lwowie: Ścisły komitet budowy pomnika Smolki. Przy stole siedzą od lewej ku prawej: adw. dr. E. Lilien, prof. Bizanc, prezydent Ciuchciński, poseł dr. Jahl i dyr. Zgórski. W głębi stoi artysta-rzeźbiarz T. Błotnicki, którego projekt został przez komitet przyjęty i będzie wykonany. (Fot. M. Münz Lwów).

O pomnik Smolki we Lwowie.

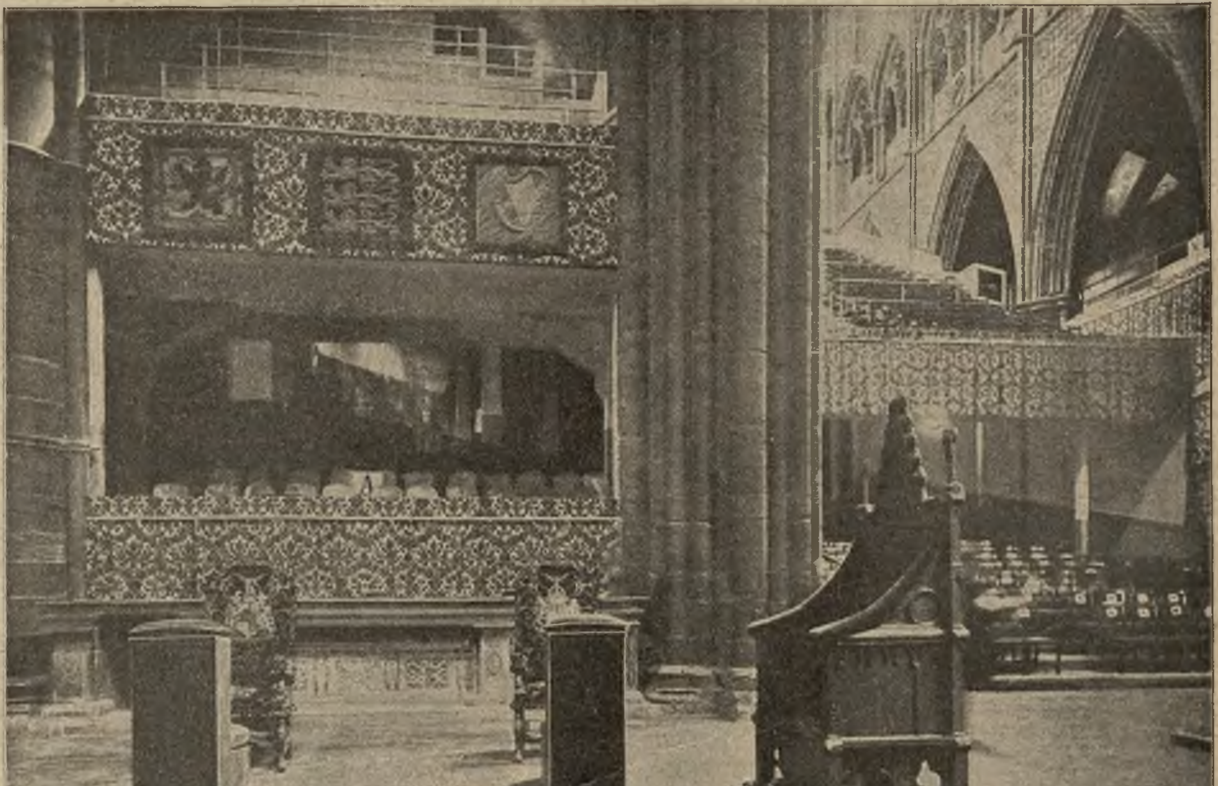
Na ogół nie mamy szczęścia do konkursów tak literackich, np. dramatycznych, jak artystycznych. W chwili rozpisania konkursu bowiem tworzą się natychmiast koterye i partye, które prz licytowują swych kandydatów. Tak stało się i z konkursem na mający stanąć we Lwowie pomnik Franciszka Smolki, wielkiego patryoty, przewodnika demokracyi polskiej, bohatera walki o wolność z 1848 r.

Sprawa tego konkursu jest istotnie bardzo charakterystyczna i znamienna, warto też bodaj w krótkości podać jej faktyczny przebieg, zwłaszcza że w niektórych dziennikach pojawiły się przed paru dniami notatki inspirowane stronniczo, notatki zwracające się najniesłuszniej przeciw decyzyi komitetu budowy.

Wspomniany konkurs został rozpisany przez „Koło architektów“, które na sędziów konkursowych, członków „jury“, zaprosiło przeważnie architektów i inżynierów, w tem kilku profesorów szkoły przemysłowej. Konkurs zawiódł nadzieje, choć bowiem kilka nadesłanych projektów odznaczało się dużemi zaletami artystycznemi, to jednak większość nie odpowiadała warunkom konkursu, nie liczyła się z całym szeregiem ważnych okoliczności. Nie liczył się z nimi i sąd konkursowy. To też rozstrzygnięcie sądu wprawiło w niemały kłopot komitet budowy pomnika. Nie wchodząc zresztą w ocenę bezwzględnej piękności nagrodzonych projektów, musiał się komitet liczyć z stylem ich i stosunkiem do stylu otaczającego pomnik placu i mieszczących się tam budowli, musiał się dalej liczyć koniecznie z funduszami, jakie po długich latach udało mu się na cel budowy pomnika zebrać. Tymczasem odznaczony I nagrodą projekt (prof. Raszki z Krakowa) jest w swej architektonicznej części ultra secesyjny i stanowiłby dyssonans wobec gmachów plac otaczających, psułby harmonię stylu, zwłaszcza wobec budowli „Banku handlowego“, na tle którego pomnik ma stanąć. Nadto budowa pomnika wedle projektu prof. Raszki kosztowałaby dwa razy tyle, ile funduszów ma do dyspozycyi komitet. *Mutatis mutandis* to samo możnaby powiedzieć o projektach, odznaczonych drugą i trzecią nagrodą.



O pomnik Smolki we Lwowie: Projekt prof. Raszki, odznaczony I. nagrodą.



Koronacya w Anglii: Wnętrze opactwa westminsterskiego w Londynie, z starożytnem krzesłem koronacyjnem (X) króla Edwarda I.

Wobec tego komitet budowy pomnika, nie mając obowiązku stosować się do opinii sądu konkursowego, wybrał do wykonania projekt najodpowiedniejszy, licząc się z wymienionymi wyżej względ-



O pomnik Smolki we Lwowie: Prof. Jan Raszka, autor odznaczonego I. nagrodą projektu

dami, choć odznaczony przez „jury“ tylko „zaszczytną wzmianką“; autorem tego projektu jest artysta-rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki.

Projekt Błotnickiego, przez cały komitet jednogłośnie wybrany, posiada tę wyższość nad innymi, że jest stylowo z architekturą Banku związkowego złączony, a dalej że figura przedstawia na prawdę Smolkę, nie jakąś historyczno fantastyczną postać.

Kiedy wiadomość o tej decyzyi komitetu została ogłoszona, pojawiły się w dziennikach jednobrzmiące, widocznie z jednego źródła inspirowane notatki, ostro komitet krytykujące z powodu niezastosowania się do wyroku „jury“. Spodziewać się należy, że komitet wyjaśni publicznie zupełnie słuszne swe stanowisko i zakończy w ten sposób niesmaczną kampanię, prowadzoną z tej okazyi i przeciw niemu i przeciw jednemu z najwybitniejszych i najzasłużeńszych artystów-rzeźbiarzy.

Z życia górników w Królestwie Polskiem.

Sosnowiec, leżący w gubernii piotrkowskiej w powiecie będzińskim, to potężna dziś osada w Zagłębiu



Z życia górników w Królestwie Polskiem: Zarząd „Domu Ludowego“ kopalni „Saturn“ w Sosnowcu.

Dąbrowskiem, licząca kilkadziesiąt tysięcy ludności, kopalnie węgla i wiele fabryk, których zarządy dbają też i o wygody swych pracowników, o polepszenie ich bytu i rozwój umysłowy i kulturalny, wychodząc z dobrze zrozumianej zasady, że przez naukę i oświatę dochodzi się do dobrobytu.

Jednem z najpotężniejszych przedsiębiorstw górniczych Sosnowca jest kopalnia Saturn, zatrudniająca setki robotników rozmaitej kategoryi. Istnieje tu od r. 1910 Dom ludowy dla robotników kopalni, założony przez ludzi dobrej woli a poparty przez zarząd „Saturna“, który uznając potrzebę takiej kul-



Napad na tle polityeznem: Były poseł do Dumy Roman Dmowski.

turalnej placówki, ofiarował lokal i założył podwaliny pod bibliotekę Domu ludowego. Obecnie liczy Dom ludowy przeszło dwustu członków, przeważnie robotników-górników. Posiadając bibliotekę, składającą się prawie z sześciuset książek, przeznaczonych dla dorosłych i dwustu dla dzieci, czytelnię zaopatrzoną w kilkanaście czasopism i urządzając pogadanki i odczyty popularnej treści, wpływa Dom ludowy bardzo dodatnio na rozszerzenie widnokręgu



Koronacya w Anglii: Król Jerzy V. i królowa Marya w strojach koronacyjnych.

umysłowego robotnika. Zarząd Domu ludowego składa się z dwunastu członków-robotników, wybieranych przez ogół należących do stowarzyszenia.

Illustracye, które podajemy w bieżącym numerze, przedstawiają członków Zarządu Domu ludowego oraz grupę uczestników wycieczki Towarzystwa Muzeum rolnictwa i przemysłu z Warszawy, zwiedzających kopalnię „Saturn“ w Sosnowcu.



Z życia górników w Królestwie Polskiem: Uczestnicy wycieczki Tow. Muzeum rolnictwa i przemysłu z Warszawy w kopalni „Saturn“ w Sosnowcu. (Fot. M. Czarnomski, Sosnowiec).

Nowy gabinet francuski.

Jak było do przewidzenia, gabinet Monis'a nie utrzymał się długo u steru rządów. Nastąpiło nieuchronne przesilenie, które po czteru dniach zakończyło się ustąpieniem całego gabinetu; w jego miejsce przyszedł rząd nowy, z b. ministrem skarbu Caillaux na czele.

Gabinet, na którego czele stoi Caillaux, nie wiele się różni od gabinetu Monis'a. Najwybitniejszą osobistością jest w nim niewątpliwie premier, zdolny polityk, który też daje rękojmię ciągłości zarówno w pracach parlamentarnych, jak w administracyi tudzież polityce. Jako mowca nie należy wprawdzie do pierwszorzędnych, jest jednak wybornym znawcą administracyi i spraw finansowych. Odznacza się przytem zimną krwią, co jest bardzo cenną zaletą w parlamencie francuskim, tak skłonnym do burzliwości.

Caillaux jest zwolennikiem parlamentaryzmu i jego gorliwym obrońcą. Na czoło programu prac parlamentarnych wysuwa on reformę wyborczą, dalej sprawy rozgraniczenia winnic w departamentach Marne i Aube, tudzież przyjęcia do służby kolejarzy, wydalonych z powodu strajku. Polityka zagraniczna pójdzie dawnym torem, zwłaszcza w kwestyi marokkańskiej.



Nowy gabinet francuski: Premier gabinetu i minister spraw wewnętrznych Caillaux.

Cały gabinet jest koncentracyjny. Weszło doń 4 radykałów, 6 radykalnych socyalistów, jeden członek zjednoczenia republikańskiego i jeden socyalista niezawisły.



Zjazd związku towarzystw turystycznych: Uczestnicy tegorocznego zjazdu, obradujący w sali Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

8)

— Co to u kaduka znaczy wolna miłość? — huknął jakiś tęgi basowy głos z taką siłą, że zagłuszył wszystkie inne.

Oczy mówczyni mimowoli skierowały się w stronę, skąd to zapytanie wyszło i z żywym rumieńcem, który nagle wykwitł na jej mizerną twarzyczkę, poczęła:

— Wolna miłość jest to łączenie się mężczyzny z kobietą nie dla posagu, nie dla interesu, ale dla naturalnego pociągu i rozejście się dobrowolne, kiedy ten pociąg spowszednieje i ciążyć zacznie obojgu.

— A dzieci? — ktoś zapytał.

— Dzieci państwo weźmie na wychowanie. Oczywiście nie dzisiejsze państwo, ale socyalne, urządzone zgoła na innych podstawach i inne mające cele przed sobą.

— Piii!— zapiszczał jakiś łobuzowski głos młody— to będzie galanto. Będę się żenił co pół roku, a jeśli dziecka będą, to nic mnie nie obchodzi! Nie będzie ani mamy, ani papy, ani księdza proboszcza. Festnie! Wiwat panna z Wiednia!

Zarumieniła się mocno, a w sali rozszedł się śmiech homeryczny, który jeszcze bardziej się zwiększył, gdy gdzieś w ciemności rozgrywać się poczęła głośno i krzykliwie scena małżeńska. Jakaś kobieta wysoka, górująca głową nad tłumem, odziana w chustkę, głosem piskliwym i płaczącym, zapełniającym sobą wszystkie kąty tej izby ogromnej, poczęła wołać:

— Idziesz do domu, czy nie?

— Ale, moja Andziu, widzisz...

— Nic nie widzę, hyclu jakiś, pijaku, jeno że się próżniaczysz, zamiast roboty pilnować i dzieckó...

— Ależ... uważasz... to jest wiec robotniczy...

— Ja ci tu dam wiec... widzisz go! na wiece chodzi, o głupstwach gada i głupstw słucha, a żona w jednej kiecce haruje cały dzień w domu, a dziecka jeść nie mają co.

I obracając się do tłumu i do stojącej na estradzie głosicielki wolnej miłości, podniosła potężną pięść i zaczynając wygrażać nią, głosem piskliwym i ochrypłym już teraz od krzyku, wołała:

— Poszlibyśta wy wszystkie głupie chłopy, próżniaki, pijaki, do domu, do roboty, a nie słuchały jakiejś lafiryndy. Czegój panna do stu dyabłów ślepie na mnie wytrzeszczasz? Lepiejbyś zrobiła, żebyś sobie kieckę zacerowała i pończochy, a nie gadała głupstw do chłopów, którzy jeno rade nic nie robić i zwalać wszystko na żony. Żeby tak na mnie, tobym takiej psikrwi lafiryndzie dwadzieścia pięć batów dała na gołkę i zapędziła do roboty, toby jej się odechciało gadać na wiecach.

Rozległy się głośne, grzmiące śmiechy, piski, wycia chłopaków, a rozwścieczona megiera krzyczała dalej:

— Żeby ten z piekła nie wyjrzał, kto te wiece wymyślił, żeby mu one bokiem hyclowi wylazły! Czegój panna stoisz i nie zleziesz z tych desek? Trzewikibyś sobie lepiej wyczyściła, a nie gadała do chłopów próżniaków o miłości. Chłopa ci się chce, ty łbie świński? Krzywe to to, chude to jak śmierć, skóra i kości i za chłopami zerka. No (odwróciła się nagle do swego męża) póndziesz ty do dom! Ruszaj, pókim dobra, bo...

— Ależ Andziu!...

Resztę tej sceny małżeńskiej zagłuszyły śmiechy, wrzawa nieopisana, wycia, piski, trzask otwieranych i zamykanych drzwi, bo zaczęto się rozchodzić. Gwałtowne przeciągi zgasiły świeczki na estradzie, a lampki naftowe niemiłosiernie kopcić zaczęły. Tu i owdzie dał się słyszeć pisk kobiecy w ciemności, a nawet rozległ się krzyk:

— Panie Ignacz, jeno łapy przy sobie, bo trzasnę pana w mordę!

XI.

W parę dni po tym wiecu niefortunnym, który na długo odjął panu Stanisławowi ochotę propagowania jakichkolwiek idei i pogrążył go w zwykłą mu apatyę i obojętność na wszystko, zjawił się w Górach nowy gość, a raczej nowy sukcesor, który wprowadził pewną nowość, pewną rozmaitość w dość monotonne życie w tym starym szlacheckim dworze.

Wszyscy bo się w nim po trochu nudzili. Pan Stanisław unikał starannie wszelkich rozmów z Siergiejem Bolesławiczem, który go męczył śmiertelnie nieskończenie głupiemi opowiadaniami o swej służbie w „Pitrze", jak stale nazywał Petersburg, wygłaszanemi zepsutym, krzyczącym o pomstę do Boga językiem. Panna Aniela unikała go także, bo wolała długie rozmowy prowadzić z Antkiem Wiśniewskim o złym porządku obecnego świata i o koniecznych w nim reformach, niż słuchać historyi, po raz dziesiąty opowiadanej o „kupieczeskiej córce, na której" chciał się żenić asesor kolegialny. Pani Zenobia, nie wiadomo czy Kapuścińska, czy Kozłowska, oczywiście pioruny jednem okiem ciskała na Siergieja Bolesławicza, który śmiał jej „synaczka sierotkę" za szczecinowatą czuprynę wytargać i przy każdej sposobności nie omieszkała nazywać godnego asesora „opojem, pijakiem, andrusem" i t. p. wymysłami, zaczerpniętymi z gwary ulicznej warszawskiej.

Zostawiony sam sobie asesor pił „oczyszczoną" i sypiał po ośmnaście godzin na dobę gadając, że „Priwiślinje" to kraj „retrogradny" i że trzeba tu „żywej wody", żeby „progres" w nim zaprowadzić. Tą żywą wodą, nieco zaprawioną „oczyszczoną", on rzeczywiście był, któżby o tem mógł wątpić.

W tę atmosferę nudów i wzajemnych niechęci, wpadł pewnego razu nowy gość i nowy spadkobierca, pan Adam Jasiński, syn Karoliny z Kozłowskich Jasińskiej, rodzonej siostry, już nie żyjącej, zapisodawcy.

Był to młodzieniec, mogący liczyć dwadzieścia kilka lat wieku, ubrany modnie, z włosami rozczesanymi na środku głowy, ustrojony w krawatki jasnej, krzyczącej barwy, któremi się pysznił nadzwyczajnie i który w Warszawie pełnił zaszczytne obowiązki „wolnonajemnego" pisarza w cyrkule policyjnym, a jak on się wyrażał, w „części" na Pradze. Był przystojny, ale Anielce się nie podobał za to, że nie patrzał w oczy, gdy mówił i że spojrzenie jego było niespokojne, niepewne i latające. Wogóle nikomu w Górze się nie podobał, choć on dla każdego był uprzejmy nadzwyczajnie i grzeczny. Z panią Zenobią Kapuścińską albo Kozłowską znał się z Warszawy i względem niej tylko zachowywał się dość szorstko i po przyjeździe zaraz długą miał z nią na osobności konferencyę, przy której, jak zauważył asesor kolegialny, zaglądając przez okno, pani Zenobia ciągle dygała i przybierając skromne minki, gadała:

— Dobrze, panie adyunkcie!

Ze Stanisławem, gdy tylko znalazł się z nim sam na sam, zaczął gadać o spodziewanej sukcesyi.

— Nie wiem — mówił — jaką fortunę zostawił mój wujaszek. Nie byłem z nim w stosunkach, ale podobno, jak ludzie mówią, znaczną. Jak pan myśli, dużo tego będzie?

Pan Stanisław, który z Antkiem Wiśniewskim wszedł od razu na stopę familijnej zażyłości i mówili sobie ty, w żaden sposób nie mógł się przemódz, żeby z imci Adamem Jasińskim, także bliskim, bo bratem ciotecznym, ten sam stosunek zachować. Mówili sobie panie i Stanisław był bardzo z tego zadowolony, bo mu się okrutnie nie podobał ten „wolnonajemny z części" na Pradze. Na pytanie o wysokości sukcesyi po stryju, odrzekł, jak wszystkim pytającym go o to, że nie wie.

— Hm! — zauważył pan Adam — bo żeby nie wiem jak duża była sukcesya, to musi się rozdrobnić, gdy tylu jest do niej pretendentów. Ale muszę ja panu dobrodziejowi coś powiedzieć.

Tu przysunął się do Stanisława i półgłosem szeptał konfidencyonalnie, co się trapionemu pessymizmem młodzieńcowi nadzwyczajnie nie podobało, ale znieść to musiał.

— Uważa pan... słowo honoru, muszę panu dobrodziejowi powiedzieć, że ta baba, Zenobia Kapuścińska, to zdaje mi się nie ma żadnego prawa do spadku. Ona gada, że była żoną wujaszka Zygmunta. Znałem go, nawet powiem panu dobrodziojowi, że od czasu do czasu wsunąłem mu w rękę parę groszy, a w „części", gdy go stójkowy przyprowadził pijanego, jak mogłem, broniłem... Ale co tu było poradzić? Prystaw szelma był ostry i krzykała, a wylać u niego urzędnika z posady, to tak jak u mnie papierosa zapalić. Ciężki kawałek chleba, niech to z przeproszeniem cholera potrójna porwie... Ależ ze mną to nie tak łatwo, umiem ja się okoniem stawiać tym panom, co tu zjechali z Ufimskiej gubernii... oho... umiem i w kaszę sobie nie dam dmuchać...

Stanisław te poufne, ale osobiste zwierzenia przerwał chłodną uwagą:

— Może mi pan co powie jeszcze o stryju Zygmuncie. Mało go znałem, ale o ile sobie przypominam, była to postać bardzo sympatyczna.

— Sympatyczny to on w rzeczy samej był, ale pijak... no! niech ręka Boska broni. Pan chce o nim coś wiedzieć?... Hm... bo to widzi pan dobrodziej, najważniejsze jest to, czy był on w rzeczy samej żonaty z tą babą, Zenobią Kapuścińską. My ją tam znamy doskonale w „części", proszę ja pana... Prystaw ma na nią oko i ja też...

— Więc pan przypuszcza, że ona nie była żoną stryja Zygmunta?

— Czy przypuszczam? pewnie, że przypuszczam... ale ja z nią pogadam po swojemu i prawdę z pod serca jej wydobędę, niech pan dobrodziej będzie spokojny.

— Zdaje mi się, że pan już z nią długo na osobności rozmawiał?

Zmieszał się trochę pan Adam i spojrzał z ukosa i przenikliwie na Stanisława i rzekł po chwili z przymileniem:

— Zauważył to pan dobrodziej? tak, w rzeczy samej gadałem z nią, bo przecie, jako z krewną znamy się od dawna, to jest, chciałem powiedzieć, niby krewną. Dyabeł tam, proszę pana, dojdzie prawdy... Te klasy ludzkie, muszę powiedzieć, są nadzwyczaj zepsute. Co się tam nie dzieje! Te literaty piszą rozmaite powieści, ja to czytam, bo lubię czytać, ale niechby mnie zapytali, tobym im dopiero opowiedział historye, no! no! Ale proszę pana dobrodzieja być ostrożnie z tą Kapuścińską, dowodów, metryk żądać, zresztą już ja tego dopilnuję, obedrzeć się przecież nie pozwolę...

Podejrzane wydało się to Stanisławowi, przy pierwszej więc nadarzającej się sposobności, zwrócił się z zapytaniem do koleżskiego asesora, czy przypadkiem nie zna Jasińskiego.

— Ten młody Jaszyński?

— Jasiński — podpowiedział Stanisław.

— Jasińskij... czort jego znajet, co to takiego...

— Cóż takiego!

— On na kwaterę tuż przy mojej. Ja już dwie noce słyszu, jak on coś pisze przez całą noc. Co taki wolnonajemnyj może sobie pisać, pytał ja siebie.

— Może listy, może wiersze miłosne do jakiej nieczułej piękności — zaśmiał się Stanisław.

— Da, wy pan Stanisław śmiejecie się, a to może być bieda!

— Jaka bieda?

— To to i jest, co ja nie wiem jaka, ale mnie się każe, co on... wiecie... taki, co na cztery oczy patrzy, ot słowem... szpicel!

— Cóż znowu? — oburzył się Stanisław.

— Da, już wy mnie pan nie uczcie, ja ich znam. Mało to ja ich na służbie poznał? Imi świat się roi. Ot, co jest. Ja co? ja czynownik, no cóż, że u mnie bieda, ale ja czestny człowiek, ja szpiclów nienawidzę. Oni z człowieka czorta zrobią, jak zechcą. Ja ich znam. On w policyi służy... tfu! co taki durak może pisać po całych nocach? Raporciki, co? che!

Słowa te Siergieja Bolesławicza uderzyły Stanisława; jakkolwiek im nie wierzył, jednakże postanowił baczniejszą zwrócić uwagę na zachowanie się nowego swego kuzynka.

— Ładna — mówił sobie — byłaby familijka moja, jeżeli opinia asesora kolegialnego jest prawdziwa. Z jednej strony taka pani Zygmuntowa i jej synek Ferdzio, z drugiej pan Adam Jasiński. Niech to dyabli wezmą! mój stryjaszek nieboszczyk dobrze widać znał ich wszystkich, kiedy się tak zdaleka od nich trzymał. Ale i sam też żył dziwacznie. Panna Aniela, a i Wojtek Mecherzyna, jeżeli to prawda, co opowiada Orczykiewicz, są mymi kuzynami z lewej ręki, a któż zaręczy, że więcej się takich nie okaże? Brudy i koniec! a trzebaż, żebym ja w to wszystko wlazł!

Przyrzekał sobie, że odtąd pilnie będzie się przypatrywał postępowaniu pana Adama Jasińskiego, ale niebawem owładnęło nim zwykłe lenistwo ducha, gorzki, trujący pessymizm, myśl o nieuniknionej śmierci i to wiecznie powracające pytanie: czy warto o czemkolwiek myśleć i czemkolwiek się zajmować, skoro jutro może zjawi się nieubłagana, konieczna, niczem nie powstrzymana, straszna śmierć. Ot, wszak niedawno chciał rzucić się w wir życia, ulubione teorye ekonomiczne wprowadzić w wykonanie, popracować dla doli tych rzesz robotniczych, której się od kilku tygodni przypatruje, i cóż? spotkał go zawód, szyderstwo, gmina, pięść wznosząca się do góry i zapowiadająca zniszczenie burżujom. Czyż wobec tego, wobec śmierci, która czyha na człowieka, jak dziki zwierz na zdobycz, warto się czemkolwiek zajmować, trudzić swoje ciało i myśl? Kiedy z jednej strony spotka cię szyderstwo, z drugiej dotykać się trzeba takich osobistości, jak kuzynek Adam?

— Zresztą, co on tu może szpiegować, jeżeli w rzeczy samej szpieguje? Głupstwo!

Dał więc pokój pierwotnym swoim zamiarom i nie zajmował się wcale nowym swym kuzynem. Co prawda, nie podobał mu się bardzo, więc unikał z nim styczności i rozmów, ale mimowoli spostrzegł, że za to pan Adam jakąś szczególną znajdował przyjemność w pogawędkach z nim, przytem wypytywał się pilnie o sukcesyę, o stosunki nieboszczyka wujaszka Teodora, o kuzynkę Amelkę, o Wiśniewskiego o wszystko jednem słowem.

To wszystko nie podobało się nadzwyczajnie Stanisławowi i raz obudzone podejrzenia wzmocniło. Już teraz na każde słowo, na każde wejrzenie, na każdy krok kuzynka Adama patrzył okiem podejrzliwem i mimowoli, wbrew swojej teoryi, że na tym świecie nie warto się niczem zajmować i nad niczem sobie głowy łamać, począł śledzić wszystkie czynności Jasińskiego. Zauważył też przytem, że tem samem, to jest bacznem przypatrywaniem się panu Adamowi żywo zajmuje się także Siergiej Bolesławicz i ani na chwilę nie spuszczał z oka nowego przybysza; zauważył dalej, że ten ostatni miewa częste, długie sam na sam prowadzone konferencye z panią Zenobią Kapuścińską alias stryjenką Zygmuntową. O czem ta godna para mogła rozmawiać? trudno było odgadnąć, ale rzecz była znamienna. Widocznie zwracało to także uwagę Siergieja, bo widząc raz, jak pani Zenobia spaceruje po alei ogrodowej z Adamem, który pochylony coś jej długo szeptał do ucha, mrugnął na Stanisława i półgłosem rzekł:

— Znajesz pan, ja by dał dziesięć całkowych, żeby mógł słyszeć, o czem oni tam gadają.

— Cóż! znają się z Warszawy, więc zapewne rozmawiają o wspólnych znajomych.

— Da! da! o wspólnych znajomych!... he! he! he! aj pan... albo ty nic nie pojmujesz, albo udajesz nieznajuszczego. A ty wiesz pan, że ja chciał dowiedzieć się, komu on po nocach pisuje takie długie pisma i ja pilnował, jak Jędrek będzie jechał do miasta... da myślał sobie, ot co, on Jędrku odda pismo i ja adres zobaczę i dowiem się, co jest — he! he! he! nie taki on głupi! On, znajesz pan, sam piechotą chodzi na pocztu i sam pisma w jaszczyk rzuca. Ot, jaki czort!

Jużcić była to rzecz podejrzana, bo dotąd nikt się nie krył z tem, do kogo i dokąd pisuje i nikogo to zresztą nie obchodziło, kto z kim koresponduje. Ostrożność, jaką pod tym względem zachowywał pan Adam Jasiński, była już sama przez się dość podejrzana, jednakże Stanisław na wiadomość udzieloną mu przez Siergieja, przez ducha sprzeczności, właściwego wszystkim ludziom, odrzekł:

— Może pisuje do jakiej damy, w której jest zakochany i nie życzy sobie, aby na kopercie nazwisko jej mógł ktoś odczytać. Może to mężatka i dlatego co do niej zachowuje ścisłą dyskrecyę.

Ale Siergiej na to roześmiał się głośno i stukając grubym, pałkowatym paluchem w swoje czoło, gadał:

— Oj pan! pan!

Jakby chciał tym giestem okazać, że w głowie Stanisława coś jest w nieporządku, skoro o pismach Jasińskiego takie może wygłaszać zdanie. Ale i Stanisław roześmiał się znowu z rubasznych ruchów asesora kolegialnego i spytał:

— Cóż, nie wierzysz pan temu? dlaczego? czyż taki młody człowiek jak Jasiński nie może się kochać w mężatce i listów do niej pisywać?

— Da, kochać się to on może, po czemu by nie, tylko taki człowiek jak Jasiński o lubości nie duma. Także jemu tam kochanie w głowie! Wy pan Stanisław myślicie, co ja nie nie wiem, co gadam. Ja widział to pismo, jak on go miał w ręku. To taka duża bumaga w konwercie, jak kazionna ekspedycya. No! no! znajet koszka, czyje mięso zjadła. Nie mnie o tem gadać.

Wszystko to były fakta bardzo podejrzane, ale ostatecznie Stanisław sobie mówił:

Co mnie to wszystko obchodzi? miałbym się też czem zajmować, jakimś tam łpem z policyi! Niech sobie szpieguje, jeżeli ma co szpiegować. A potem cóż mnie przyjdzie z tego szpiegowania? czyż przez to zmieni się cokolwiek w zwykłym porządku świata? Głupstwo i wszystko marność!

I już nie myślał wcale o Jasińskim, ani o jego czynnościach, tajemniczych listach i rozmowach z panią Zenobią Kapuścińską. Ale w parę dni potem otrzymał dwie wiadomości, które myśl jego i uwagę znowu zwróciły na pana Adama Jasińskiego. Zgłosił się bowiem stary Błażej Orczykiewicz i gadał:

— Proszę panicza, Wojtek Mecherzyna się znalazł.

— No? gdzież on był?

— Kat go tam wie panie, kaj on był; włóczył się hycel po boru i jakieś tam schadzki ma z takimi samymi jak on hultajami. Muszę też paniczowi pedzieć, co ten pan, co tu niedawno z Warszawy przyjechał, też po boru chodzi i z Mecherzyną gada.

— Który pan? — spytał Stanisław — sądząc niewiadomo dla czego, że Błażej mówi o koleżskim asesorze.

— Wiem ja to, jak on się nazywa? Taki młody,



Tu przysunął się do Stanisława i półgłosem szeptał konfidencyonalnie.

z wąsikami, bogaty musi pan, bo ma buty co się świecą jak słońce, a i zegarek ma i łańcuszek złocisty przy nim...

— Pan Jasiński?

— Może i Jasiński, wiem ja to?

— Chodzi po boru i z Mecherzyną gada?

— Żeby to jeno z Mecherzyną, ale i z innymi, osobliwie z tym żydziakiem, synem Szlamy z miasteczka i z innymi żydami. Chodzi też tam jakaś panna, co ma włosy krótko ostrzyżone, a chuda jak nieprzymierzając kobyła Szlamy. Skóra jeno pewnie i kości.

Stanisławowi przypomniała się owa postać niewieścia, która na wiecu robotniczym upominała się o swobodę kobiet i o wolną miłość i zniesienie dożywotnego małżeństwa.

— A cóż oni tam w boru robią?

— Niewiem panie. Co robią! juźci nic, jeno ciągiem gadają.

— I ten pan młody tam bywa?

— Bywa panie i też gada, a rękami wymachiwa, jak nieprzymierzając wiatrak śmigami.

Wiadomość ta uderzyła Stanisława. Już teraz nie ulega wątpliwości, że pan Adam Jasiński, jeżeli nie jest szpiclem, to w każdym razie propagatorem rewolucyjnym.

— Niechże sobie nim będzie! — zawołał w końcu swych rozmyślań — a mnie co do tego? Dziwna jednak rzecz, że są ludzie, którzy się tem trudnią, wysilenia robią, niepomni, że jutro mogą umrzeć. Ach, jakiż ten świat jest głupi!

Zjawił się też we dworze w Górach i ów Szlama Stokfisz, handlarz zboża i drzewa z sąsiedniego miasteczka. Był to już niemłody człowiek, z dużą siwą brodą, jak mówiono bardzo zamożny i bardzo poważny.

— Z czem Szlama przyjechał? — pytał go Stanisław.

— Ny, z czem? ja przejeżdżał tędy do Rudki do pana Michalskiego, to i wstąpił do wielmożnego pana, żeby się spytać, co słychać, czy wszyscy zdrowi.

— I ziękuję, wszyscyśmy zdrowi.

— Ny, to chwalić Boga i za to, bo zdrowie w tych ciężkich czasach to jest jak złoto. Człowiek ma tyle zmartwienia, co nie daj Boże więcej.

Widocznie Szlama miał jakiś interes, ale nie chciał się z nim odrazu zdradzić. Gadał to i owo, pytał czy już dużo sukcesorów się zjechało i kiedy będzie otwarcie testamentu. Wreszcie spytał:

— A ten pan Jasiński, to także sukcesor?

— Tak. Czy Szlama go zna?

— Skąd ja jego mogę znać? on z Warszawy?

— Z Warszawy.

— On z policyi?

— O policyi.

— Hm! ja to sie zaraz domyślił.

— Z czegóż się Szloma domyślił i skąd zna pana Jasińskiego?

— Ja jego nie znam, ja z nim nie gadał, ale mój syn Icek, to ciągiem z nim gada.

— O czem?

— Czy to ja mogę wiedzieć, o czem oni gadają?

— A Icek ojcu nie mówi, o czem mówi z panem Jasińskim?

— Icek wielmożny pan może myśli, że on mi co powie? Co to teraźniejsza młodzież, oni mają całkiem przewrócone w głowie. Oni pedają, co tera będzie równoszcz, nie będzie bogatych, wszyscy będą bogaci. Co wielmożny pan chce, teraz świat jest inny. Teraz niema dżeczy, teraz wszyscy są mądrzy. Ja wielmożnemu panu coś powiem. Ja na bezrok kupił od pana Michalskiego z Rudkie piękny las i ja zapłacił sześćdżesiąt pięcz tysiąców *bares Gield*. Nu, ja las tne, bo na co ja jego kupił? U mnie tam w lesie są ludzie, jest rachmistrz, jest pisarz, są i inne moje oficjalisty. Nu, to mój syn, ten Icek, poszedł do nich i pita: ile wam stary... on mnie nie nazywa ojciec, tylko stary...

Zachlipnął się Szlama i tak dalej opowiadał:

— Pita ten mój Icek, ile wam stary płaci pensyi. Ny, to oni odpowiedzieli, że tyle i tyle. A on im peda: wy głupi jesteście, on wam mało płaci, to wy potrzebujecie zrobić strejk, żeby on wam płacił więcej. Nu, i oni zrobili strejk...

Stanisław począł się serdecznie śmiać z tej historyi, bo przy całym tragizmie miała ona w sobie wysoce komiczny rys, że własny syn zbuntował robotników ojcowskich, przeciw temuż ojcu.

— Pan sze szmieje? — pytał zdziwiony Szlama — ny, niech się wielmożny pan szmieje, na zdrowie, ale mnie się płakacz chce. Bo widzi wielmożny pan jaki to teraz szwiat. Czy to kiedy bulo, żeby syn na ojca powstawał? Ja miszle, co to już koniec będzie tego szwiata.

— No i cóż? przecież mogliście panie Szlama wpłynąć na syna, przedstawić mu, że krzywdząc was, krzywdzi samego siebie.

— Wpłynąć na niego? Pan miszli, co on mnie usłucha? Żeby on był młodszy, toby ja wziął dyscypliny i jemu tak zbiół, tak zbiół, coby on popamiętał ruski miesząc. Ale on jest duży, on większy odemnie, co ja jemu zrobie? Mogę to ja jemu co zrobić? Ja jemu powiedział, ty Icek, ty potrzebujesz sobie odemnie iść precz, ty nie mój syn, ja ciebie znać nie chce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Chrzest dzwonu w Łodzi.

Bardzo podniosłą i piękną uroczystość święcono w ubiegłym tygodniu w Łodzi. Dokonany został mianowicie chrzest nowego dzwonu, ufundowanego dla kościoła św. Stanisława Kostki przez rzemieślników łódzkich; dzwon ten odlany został w fabryce J. Johna.

Uroczystości powagi dodała obecność i współudział w niej ks. biskupa Ruszkiewicza z Warszawy, który specyalnie w tym celu przybył do Łodzi w asystencyi ks. prałata Rembielińskiego i ks. Kwiecińskiego.

Już w przeddzień chrztu, po przybyciu ks. biskupa i powitaniu go na dworcu przez duchowieństwo miejscowe oraz komitet fundacyi dzwonu i delegacyę robotników, udano się gremialnie do kościoła św. Stanisława Kostki, gdzie odbył się ingres, przyczem proboszcz ks. prałat Tymieniecki podziękował ks. biskupowi za osobiste przybycie do Łodzi. Po ingresie odprowadzono ks. biskupa procesyonalnie do mieszkania.

Właściwa uroczystość rozpoczęła się w niedzielę rano przy tłumnym udziale odświętnie przybranych rzesz robotniczych. Dzwon „Zygmunt“, który miał być ochrzczony, stał na wozie, udekorowanym bogato draperyami i kwieciem, zwracając uwagę zebranych w koło tłumów swymi potężnymi rozmiarami i nadzwyczajną kształtnością.

Po przybyciu duchowieństwa do fabryki, rozpoczęto uroczystość. Ogromny pochód ruszył ku kościołowi św. Stanisława, u którego bram oczekiwała pochodu orkiestra i mnóstwo publiczności. Komitet budowy dzwonu ofiarował go ks. prałatowi, jako gospodarzowi świątyni, poczem ks. biskup przystąpił do aktu chrztu; następnie odprawiona została suma. W uroczystości uczestniczyło z górą 40 000 osób, mimo to spokoju ani porządku nie zakłócono.

Po nabożeństwie odbyło się przyjęcie w gościnnym domu ks. prałata Tymienieckiego.

Bardzo sympatycznym epizodem w uroczystościach niedzielnych była wizyta ks. biskupa w lokalu resursy rzemieślniczej, gdzie powitał go zarząd resursy. Ks. biskup Ruszkiewicz podziękował za gościnne przyjęcie i udzielił zebranym błogosławieństwa.



Chrzest dzwonu w Łodzi: Uroczysty pochód z dzwonem przed fabryką Johna.

Nowy marszałek krajowy na Bukowinie.

Pierwszy sejm bukowiński, wybrany na podstawie nowej ordynacyi wyborczej t. j. na podstawie katastru narodowego, został w poniedziałek dnia 26 go czerwca b. r. zagajony.

Prezydent rządu krajowego baron Bleyleben, zawiadomiwszy sejm o zamianowaniu dra Aleksandra bar. Hormuzaki'ego marszałkiem, wezwał go do złożenia przyrzeczenia poselskiego i do objęcia przewodnictwa.

Zamianowany w miejsce Jerzego bar. Wassilki nowy marszałek krajowy dr. Aleksander bar. Hormuzaki urodził się 1869 r. w Czerniowcach i tu też ukończył studya gimnazyalne i uniwersyteckie ze stopniem doktora praw; wkrótce potem wstąpił do prokuratoryi skarbu, gdzie doszedł do rangi sekretarza.

Na arenę polityczną wystąpił w r. 1904, w którym z kuryi większej posiadłości wybrany został posłem sejmowym. W tym samym roku kurya ta wybrała go także posłem do Rady państwa w miejsce Jerzego bar. Wassilki, który powołany został do Izby panów. W Radzie państwa należał po rezygnacyi posła dr. A. Onciula do komisyi reformy wyborczej, w której pracach brał żywy udział.

W r. 1907 przy powszechnych wyborach do parlamentu wybrany został bar. Hormuzaki w okręgu suczawskim, z którego to okręgu i obecnie uzyskał mandat poselski.

Bar. Hormuzaki, znakomity prawnik, obdarzony niepospolitemi zdolnościami, głęboką znajomością ustaw politycznych i niezmordowaną pracowitością, wyrobił sobie opinię jednego z najwybitniejszych polityków. Z powodu swojego nieskazitelnego charakteru, zalet umysłu i serca, ujmującego, grzecznego i nadzwyczaj taktownego obejścia się z interesowanymi, cieszy się niezwykłą sympatyą i uznaniem w sferach obywatelstwa całego kraju. To też ma wszelkie kwalifikacye i warunki do objęcia tak trudnego i odpowiedzialnego stanowiska w kraju.



Chrzest dzwonu w Łodzi: Dzwon „Zygmunt“, przeznaczony dla kościoła św. Stanisława w Łodzi.



Chrzest dzwonu w Łodzi: Rodzice chrzestni dzwonu, komitet budowy i goście, z ks. biskupem Ruszkiewiczem z Warszawy w pośrodku.



Boisko młodzieży rękodzielniczej: Grono młodzieży rękodzielniczej, dla której urządzono na Błoniach boisko.

Echa krwawych zajść w Drohobyczu.

Wybory w Galicyi dobiegają już ku końcowi; od krwawego dnia w Drohobyczu, od tego niesłychanie smutnego i tragicznego epizodu wyborczego upłynęło już wiele dni. Mimo to prasa zajmuje się wciąż jeszcze krwawymi wypadkami, które się w dniu wyborów w tej mieścinie rozegrały i omawia szczegółowo przyczyny i przebieg oraz następstwa strasznych zajść.

Już w poprzednim numerze naszego pisma omówiliśmy obszernie zajścia drohobyckie i zamieściliśmy szereg zdjęć fotograficznych, do nich się odnoszących. Obecnie nadesłano nam z Drohobycza jeszcze kilka niezwykle sensacyjnych zdjęć migawkowych, dokonanych tam w dniu wyborów, bądź bezpośrednio przed krwawem zajściem, bądź też po krwawej interwencyi wojska. Zdjęcia te przeto zamieszczamy dziś, nie wątpiąc, że zainteresują szerokie koła naszych Czytelników.

Krwawe zajścia w Drohobyczu pozostaną na długo w pamięci całego społeczeństwa, tem bardziej że zresztą odbyły się wybory i w Galicyi i w państwie prawie zupełnie spokojnie, że nigdzie nie przyszło do poważniejszych zajść.

Nie można twierdzić, jakoby jedyną przyczyną strasznego wypadku w Drohobyczu były nadużycia wyborcze. Nadużycia takie działy się przy ostatnich wyborach w wielu bardzo okręgach, ludność widziała je i wiedziała o nich, mimo to zachowywała się spokojnie, protestując tylko czasem i w sposób poważny. Widocznie więc na niezwykłe rozdrażnienie wyborców drohobyckich wpłynęły inne motywy, widocznie musiały tam działać wpływy jakieś uboczne. Najważniejszym z nich była niewątpliwie agitacya syońska, nie przebierająca w środkach, nie licząca się z niczem, agitacya nadto bezcelowa, gdyż kandydat popierany przez syonistów nie miał najmniejszych szans wyborów. Natomiast większość, jaką zdobył dr. Löwenstein, okazała się tak wielką, że wybór jego nie mógł być zakwestyonowany i z pewnością nie zależał od żadnych „szwindlów", tak dobrze w Galicyi znanych. Drugim powodem zajść, prócz rozagitowania i roznamiętnienia ludności, były stosunki lokalne, wojna domowa dwu drohobyckich stronnictw. Ale to wszystko nie byłoby wystarczyło do wywołania tak krwawych zajść, gdyby powołane do utrzymania porządku czynniki umiały były zachować zimną krew w krytycznym momencie i nie dopuściły do skupienia się takich tłumów w pobliżu lokalu wyborczego.



Echa krwawych zajść w Drohobyczu: Ulica Stryjska tuż po strzałach; przed oddziałem wojska widać dwóch zabitych.

Przed załatwieniem zarzutów przeciw komisarzowi starostwa i komendantowi oddziału wojskowego, nie można wydawać sądu stanowczego o ich postępku. Niewątpliwie władze uczynią wszystko, by smutną tę sprawę wyświetlić należycie i wymierzyć sprawiedliwość.

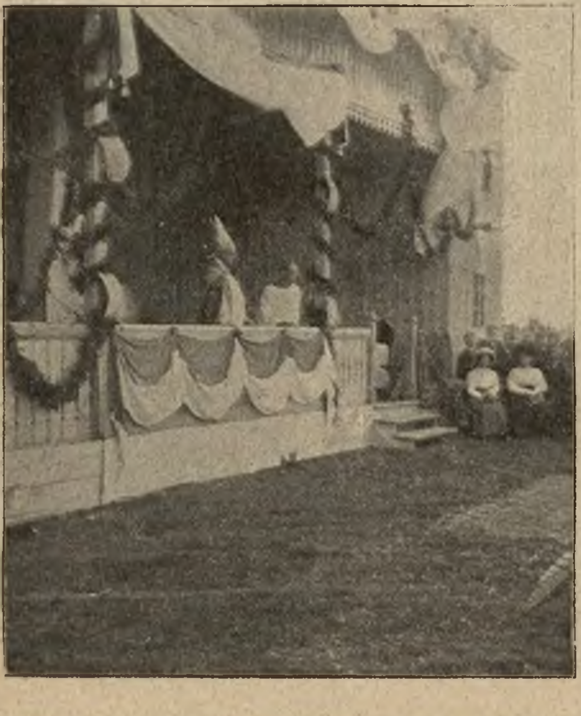
Będzie to tem konieczniejsze, iż niezadługo zapewne odbędą się tam ponowne wybory, gdyż poseł dr. Löwenstein, jakkolwiek w najmniejszym nawet stopniu za zajścia krwawe nie odpowiedzialny, mandat z Drohobycza złożył. Wprawdzie stronnictwo demokratyczne usiłuje dr. Löwensteina nakłonić do cofnięcia rezygnacyi, to jednak jest rzeczą wątpliwą, czy usiłowania te osiągną dodatni skutek.

Boisko młodzieży rękodzielniczej.

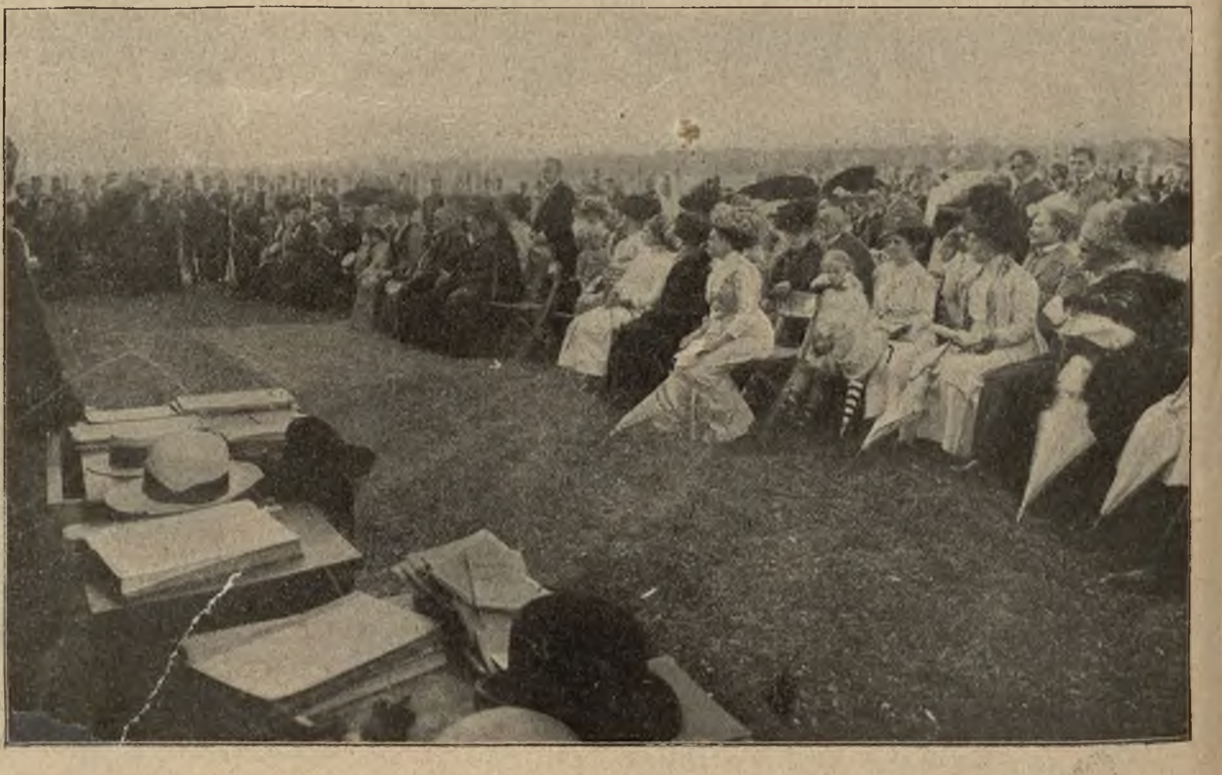
Jedną z instytucyi najbardziej kulturalnych w całem znaczeniu tego wyrazu jest bez wątpienia Polski Związek katolickich uczniów rękodzielniczych w Krakowie, rządzący się własnym statutem. Istnieje on dopiero od lat nie wielu, ale i w tym krótkim czasie zdołał wyrobić sobie stanowisko poważne i wielce się zasłużyć dla sprawy społecznej, dzięki umiejętnemu kierownictwu oraz szlachetnemu celowi, jaki wziął sobie za zadanie.

Stan rękodzielniczy, zepchnięty najniesłuszniej do rzędu t. z. niższych profesyi, wzgardzony prawie przez zawody inne, upadł po prostu dla braku ludzi, chcących mu się poświęcać. Stąd nie tylko lichy byt materyalny tego licznego i doniosłego od łamu społeczeństwa ale zarazem niski poziom umysłowy i moralny, zwłaszcza u najmłodszego pokolenia pracowników. Wyszukać te lepsze jednostki, skupić je koło siebie — ożywić i pobudzić niejako do życia zdrowego i fizycznie i moralnie, uświadomić o ideałach praw obywatela ale zarazem pouczyć o obowiązkach jego względem Boga, społeczeństwa i Ojczyzny — oto cele, oto zadania, jakie postawił sobie Związek i jego kierownicy.

Załączone ryciny przedstawiają właśnie jeden z momentów życia i działalności Związku. Otwarcie i poświęcenie przez ks. biskupa Nowaka pawilonu i boiska dla zabaw ruchowych na Błoniach krakowskich, gdzie w niedziele i święta po połu-



Boisko młodzieży rękodzielniczej: Ks. biskup Nowak, przemawiający do zebranej publiczności i młodzieży.



Boisko młodzieży rękodzielniczej: Publiczność, uczestnicząca w uroczystości poświęcenia boiska.

dniu ma spędzać młodzież rękodzielnicza, należąca do Związku, kilka godzin celem użycia ruchu na świeżem powietrzu, zajęta grą ruchową pod kierunkiem wykształconych specyalistów.

W uroczystości tej wziął udział prezydent miasta dr. Leo i zachęcał młodzież w swojej przemowie do godziwych zabaw i gier ruchowych na świeżem powietrzu, jako najlepszej drogi do ustrzeżenia się od zboczeń i wykroczeń, odbierających charakter tej najlepszej cząstce społeczeństwa, która powinna stać się chlubą społeczeństwa, jego najcenniejszym brylantem w koronie.

Licznie zebrana publiczność w reprezentantach różnych warstw społecznych, zarówno pań jak i panów i duchowieństwa, zaszczyciła Związek przybyciem na tę podniosłą uroczystość.



Nowy marszałek krajowy na Bukowinie: Dr. Aleksander bar. Hormuzaki.



Echa krwawych zajść w Drohobyczu: Zwłoki ś. p. prof. Berthelota na dorożce przed przewiezieniem do kostnicy.

Lot okrężny Paryż-Bruksela-Londyn-Paryż.

Zaledwie przycichło ogromne zajęcie, jakie obudził konkurs awiatyczny Paryż-Rzym-Turyn, już nowe, nadzwyczaj śmiałe przedsięwzięcie lotnicze zwróciło na siebie oczy całej Europy. Był to lot okrężny, na którego poszczególne etapy wyznaczono Paryż, Brukselę, Londyn i znów Paryż, nazwany stąd *„Circuit des capitales“*. Nazwę tę uznać należy za niezupełnie właściwą, gdyż stolice dały lotowi firmę, ale właściwe stacye były inne, tak n. p. pierwszą część jego stanowiła podróż powietrzna z Paryża do Leodyum. Niestety tym razem nie obeszło się bez ofiar w ludziach. Wskutek tego Francya, a za nią Europa nie tyle zajęły się osobą zwycięscy i radością z powodu dokonania przezeń i przez siedmnastu innych awiatorów trudnego dzieła, ile tymi, którzy ulegli trudnościom i młode swe życie położyli na ołtarzu żądzy sławy, a może i żądzy zysku. Jak wiadomo bowiem, niektórzy z uczestników konkursu oświadczyli otwarcie, że nigdy nie narażaliby się na śmierć, gdyby nie



Echa krwawych zajść w Drohobyczu: Widok na ulicę Stryjską przed katastrofą: w głębi szwadron huzarów, bliżej piechota, która strzelała.



Echa krwawych zajść w Drohobyczu: Przed magistratem w czasie wydawania kart legitymacyjnych.



Echa krwawych zajść w Drohobyczu: Ś. p. Władysław Więczyński, zarządca gazowni w Drohobyczu, zabity podczas zajść.





Lot okrężny Paryż-Bruksela-Londyn-Paryż:

Ofiara wypadku ś. p. Lemartin. Ofiara wypadku ś. p. por. Princetau. Ofiara wypadku ś. p. Landron.

nadzieja zdobycia nagrody i polepszenia sobie przez to bytu. To też podniosły się bardzo poważne głosy przeciwko zbyt śmiałym przedsięwzięciom lotniczym, które pochłonęły już tyle ofiar.

W locie z Paryża do Leodyum zginęło trzech awiatorów. Pierwszy z nich, Lemartin, był jednym z trzech naczelnych pilotów firmy Blériota i uchodził za doświadczonego żeglarza powietrznego. Mimo to uległ nieszczęśliwemu wypadkowi zaraz po wzniesieniu się w powietrze. Aeroplan stracił równowagę i runął na ziemię. Z pod szczątków jego wydobyto okropnie poranionego Lemartin'a i przeniesiono go do szpitala św. Antoniego, gdzie po dwu godzinach męczarni wyzionął ducha.

Awiator Landron zginął w sposób okropniejszy jeszcze. Około 7-ej wieczorem, więc po trzynastu godzinach drogi przybył do Epieds koło Château-Thierry. Nagle rezerwoar z benzyną eksplodował i aparat zapalił się, a nieszczęśliwy spalił się na węgiel. Był to człowiek bardzo młody, a dyplom pilota posiadał od dwu miesięcy.

Ten sam los spotkał porucznika Princeteau, który wzniósł się z Issy-les Moulineaux, ażeby udać się do Vincennes i wziąć udział w ćwiczeniach aeroplanów wojskowych, połączonych do pewnego stopnia z pierwszą częścią lotu okrężnego. Aeroplan jego zapalił się i spadł. Zanim ludzie nadbiegli z pomocą, Princeteau był już w agonii. Francya straciła w nim jednego z najlepszych pilotów wojskowych.



Lot okrężny Paryż-Bruksela-Londyn-Paryż: Akcya ratunkowa na miejscu katastrofy aeroplanu Lemartin'a.



Lot okrężny Paryż-Bruksela-Londyn-Paryż: Zwycięsca w pierwszym etapie podróży, awiator Vidart.

Zwycięscą w pierwszym etapie lotu był Vidart, drugi przybył do Leodyum Védrines, który okrył się sławą w locie z Paryża do Rzymu.

Co do dalszych losów i przebiegu śmiałego przedsięwzięcia awiatorskiego, dziś nie można nic pewnego powiedzieć, gdyż każdy etap lotu okrężnego może przynieść niespodziewany obrót sprawy. To tylko pewne, że jak pierwszy przelot Blériota ponad kanał La Manche, jak lot z Paryża do Rzymu i Turynu, tak i ten lot okrężny ponad ważniejsze stolice zachodniej Europy stanowić będzie epokę w rozwoju żeglugi napowietrznej.

Zadziwiającą zaś jest szybkość, z jaką postęp i rozwój awiatyki kroczy naprzód. Wszak niedawno jeszcze wywoływały zdumienie i podziw wiadomości o próbach wzlotów na aeroplanach, dokonywanych przez pierwszych pionierów awiatyki, Farmana, Wrightów i innych, o próbach, polegających na tem, że aparat wzniósł się na kilka lub kilkanaście metrów w górę i zdołał się na tej wysokości utrzymać przez parę minut.

Dziś lot na przestrzeni setek i tysięcy kilometrów, w wysokości kilkuset metrów nie należy do rzadkości i nikogo prawie nie dziwi. Ludzkość dość prędko oswoiła się z tą nadzwyczajną zdobyczą nauki, wiedzy i odwagi człowieka.

Bolesne jest tylko to w wspaniałych zapasach ludzkości z powietrzem, że pochłaniają one bardzo dużo ofiar, że niemal każda śmielsza próba okupiona być musi katastrofą, połączoną ze śmiercią lub co najmniej ciężkiem kalectwem śmiałego pilota.

W uzupełnieniu szczegółów o katastrofach w czasie lotu okrężnego, zamieszczamy dziś szereg zdjęć fotograficznych.



Echa krwawych zajść w Drohobyczu: Tłum wyborców przed lokalem kandydata partyi Spitzmanów, M. Balickiego.



Lot okrężny Paryż-Bruksela--Londyn-Paryż: Resztki rozbitego i spalonego aeroplanu porucznika Princetau.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

36

— Nie generale! Cóż, prawdziwie, miałeś wszelką racyę przysłużyć się nowemu prezesowi Rządu. Krukowiecki uprzedził mnie, ubiegł w wyniesieniu cię...

— Więc też dlatego okazałem mu wdzięczność, generale.

— Jakto?

— Uchroniłem od popełnienia zapalczywości... Proszę za mną — doprowadzę pana do konsulatu.

XXII.

Tymczasem po widzeniu się z podporucznikiem Ilińskim, znów dla profosa Dziurbackiego dzień minął bez słychu o pani Madejowej a raczej pełen złowróżebnych wieści o losie, który czekał uwięzionych za rozruchy i zabójstwa.

Wachmistrza korciło pójść do koszar i dowiedzieć się responsu, lecz co spojrzał na Antoszkę, to mu nastręczały się junackie wąsiki podporucznika i jego bezeceńska ciekawość do dziewczątka... A co barzej go dojmowało, oczy Antoszki tak nań poglądały, ilekroć przychodził mu na myśl Iliński, że Dziurbacki mało się nie skręcił.

Raz podporucznika zbył. Lecz niechby młokosowi przyszło na kieł wziąć. U takiego nie kupić. Choćby miesiąc wystawać musiał gdzie pod murem a taki wytrzyma i wyślepia sobie turkawkę. I jeszcze kiedy to jej samej aż się zęby śmieją do artyleryjskiego opatrzenia. Co natrafi na jaką blachę, szlufę, pas albo pałasz, to już się pyta, czyli panowie oficery przy harmatach takuteńkie mają!

Lepiej nie kusić licha i Ilińskiemu się nie pokazywać. A dziewczynę trza krótko. Ho ho! mores panna musi znać. Regulamin się powoli ustanowi i ani na krok samej.

I wachmistrz marsa okrutnego stroił i zezował ponuro na Antoszkę.

Lecz o dziwo, Antoszka całe już teraz o groźny wyraz oblicza profosa się nie turbowała i bobrowała sobie w rupieciarni na poddaszu, jak u siebie, gdzie z Olesiową nawet była w komitywie. Kiedy się to stało, Dziurbacki sam sobie wytłómaczyć nie umiał. Wszak zakazał dziewczyninie najsurowiej, żeby na dół po drabinie ani się ważyła. I prawdziwie nie mógł rzec, żeby uchybiła rozkazowi. Olesiowa naparła się mleka a że mleko miał profos na poddaszu, więc smerda, całe w porę, nastręczyła się po drabce ze dzbanuszkiem. I odtąd Olesiowa aby za nią wzdycha. Pewnie, bo przymilniejszej nie znaleść. Aby raz widziała, jak guziki przy mundurze, między deszczułki brał i czyścił. Odtąd co dnia ledwie oczy rozewrze — już mu guzy błyszczą, jakby je ordynans jaki lustru uczył.

Siła z tego wszystkiego było uciechy i siła turbacyi serdecznych. Ale niema co, układałoby się Dziurbackiemu niezgorzej, gdyby nie Madejowa. Podporucznik obiecał, a tu drugi dzień idzie...

Ociągał się wachmistrz jeszcze pół dnia, aż nie mogąc sobie poradzić z udręką — znów poszedł na Stare Miasto do gospody Madejowej.

Tym razem zastał Kaśkę w towarzystwie jakiegoś gwardzisty rozpartą za stołem suto zastawionym.

Kaśka na widok wachmistrza ani drgnąć nie raczyła.

— Gospodyni? Chce jegomość a no więc jutro msza wyjdzie u Augustyanów, bo u Pijarów wikary zachorzał.

Dziurbackiego ciarki przeszły.

— Co panna wygadujesz!?

— A to jegomość nie widzą — już po wszystkiem. Kogo mieli wypuścić to wypuścili a resztę będą „strzylać"... Tylko że niewiadomo, na którym placu!

— Banialuki, mospanie!

— Jaworszczanki wróciły już na południe, Ciepielewski wolen, Morawski — aby najgorszym nie darowali! Może se jegomość przepije słodkiej wódki?

Profos wyszedł z gospody odurzony.

Wlókł nogami, wymijał gromadki rozprawiających przechodniów, salutował kapitana piechoty i postrzegł nawet, że ósmego był pułku — a przecież czuł, iż mu się rozumienie bełcze, że wszystko dokoła zlewa w jakąś czarną marą.

— Mości Dziurbacki! — huknął nad uchem wachmistrza raźny głos.

Profos tchnął z wysiłkiem i zaparł się o róg kamienicy.

— Czy poznał? Jakżeby mógł nie poznać! Matysiak z drugiego ułanów! Oczywiście Matysiak. Lepiej dwadzieścia lat się znali. Wyszedł z lazaretu? Niechże na zdrowie...

Matysiak zagadywał, rozprawiał. Dziurbacki pojmował wszystko, aby mu te mary bruździły.

— A wam co — jakby was z nóg ścięło? — Wódki z pieprzem i gorczycowego siemienia, bo psiawiara chodzi...

Wachmistrz potrząsnął głową.

— Matysiakowi cholera się ochapia — a owoż aby ta czarność.

Matysiak roześmiał się domyślnie.

— Pewnie, bo chmara ludu się kotłuje, pod Zamkiem mają rozstrzeliwać. Zwyczajnie gamonie do lada czego się cisną, żeby widzieli. jak w ósmym roku w Madrycie dwustu odrazu Hiszpanów pod murem ustawili...

Dziurbacki wytrzeszczył oczy na ułana, nie mogąc zrozumieć, o jakiem rozstrzeliwaniu mówił — gdy naraz od strony placu Zamkowego zagrzmiała salwa karabinowa.

Wachmistrz zatoczył się i pomknął jak szalony w głąb Swięto-Jańskiej ulicy. Lecz zbity tłum gawiedzi objął go. Profos zaszamotał się i uwiązł bezwładny, wyczerpany.

Upłynęła tak długa chwila. Pierś wachmistrza głębiej po oddech sięgnęła. Krew żwawiej zakołatała mu w skroniach...

Profos spojrzał przed się i zadrżał. Oto widział ją tuż przed sobą, niby żywą... Twarz czerwona, impetem tryskająca, jak wówczas, kiedy... kiedy biegła z nim Antoszkę salwować. Takąż miała żwawość gestu... pani Madejowa!

I wachmistrz poglądał na objawienie i smęcił się żałością. Gdy naraz mara wionęła ku niemu wprost i za ramię go ucapiła.

Dziurbacki mało nie runął na ziemię z przerażenia.

— Panie Pietrze! A co, nie darowałam!... A co!? Trebunałowi skoczyłam do oczu! — Hę? A bo wam czego ręce latają?...

— Aby nic, aby... acani... aby żeście — bełkotał wachmistrz, nie mogąc jeszcze ogarnąć, czyli przywidzenie go nie wodzi.

Madejowa nie dała mu długo wątpić.

— Macie dytki? — Idziem do Jacentego na wiśniówkę, bo takam słaba, aże mnie ckni! Soczysty był udzielec, jak go ustrzelili, to aby nogami trzepnął i ciekł że niepodobna! A sucha Jewa trzy roki kajdanów dostała! — Chodźma na wiśniówkę!

Rada pani Madejowej w samą porę przyszła, bo za drugim półkwaterkiem i Dziurbackiemu zgoła pojaśniało i powiadanie obywatelki Starego-Miasta nabrało ładu.

Teraz dopiero pani Madejowa jęła wyłuszczać profosowi, jako Kościołowską, co z nożem na Antoszkę szła, w pół chwyciła i jako szelma miałaby prawie, gdyby nie podporucznik, co z żołnierzami wpadł, w rezultacie czego i ją, wstyd powiedzieć, zagarnęli ze zbójami, owym Cydzikiem, Kościołowskiej gachem, z Czerneckim i tym pokraką Dragońskim. Panią Madejową na ratuszu pierwszego dnia ledwie krew nie zalała z dyshonoru. Aż kiedy luda z półtorasta przybyło i to nawet od waszecia i ze szlacheckiego stanu, kiedy to sam ksiądz Pułaski między więźniami się ukazał — i pani Madejowej raźniej się uczyniło, przecież nie ostatniejsza żadna była. A Kościołowska od niej zdala, chyłkiem. Tak było dwa dni. Trzeciego dnia audytor, Ciepielowski się zwie, ją na spytki, że ona to na Zamku rżnęła panią Bażanów. Pani Madejowa mu na to tak, że czterech drabów ją musiało wyprowadzić. Aż potem, nazajutrz, wołają ją do majora Narzymskiego. Srogi człek i charakterny. U majora podporucznik artylery. — Iliński? — Pani Madejowa nie baczyła, jak nań mówili — ale co gładki to gładki. Pysio, jakby mu kto malinami umalował, a węcięty i opięty, że jeno kiecczyny zbierај a w dyrdy za nim. — Nie godzi się? — Juści, ale co smakiem się oblizać nie grzech. — Tedy ów podporucznik dalej świadczyć za nią. Major nareszcie po ludzku a co jejmość, a kiedy, a dlaczego? — Tak pani Madejowa mu sprawiedliwie od początku, od kiedy się narodziła. Narzymski słuchał. słuchał, z audytorem poszeptał, z pisarzem, i mówi — jesteś obywatelka wolna. — A pani Madejowa mu na to z góry — toć mi nie nowina, bo od rewolucyjej wszystkie ludzie są wolne! — Major się napszteczył. — Możesz acani wracać do dom. — A ona mu: — Nie pójdę, aże zbrodzieniów, obwiesiów, hyclów ostatnich wielmożny trebunał ukarze! Narzymski z audytorem na nią! — Niedoczekanie. — Jak im zaczęła pomstować a przymawiać, tak musieli ją z powrotem między więźnie. — Tu znów słuch odrazu, że wszystkich luzem puszczą, bo generał Krukowiecki łaskawość nakazał, tak że i tych, co będą sądzili, nie uszkodzą. — Panią Madejowę desperacya zdjęła. — To taka sprawiedliwość, takie trebunalstwo — za jedno godnych obywatelów z Kościołowską, Cydzikiem łotrem, Dragońskim nicponiem. Czarneckim, co rodzoną żonę do grobu wpędził? Taka generalska łaskawość, co niewinnych ludzi ze złoczyńcami mięsza?...

Aż sam Cydzik do niej w prośby i obietnice — a ona na całe więzienie — jako ją przekupywać chce! — Wówczas gwałt się zrobił. — Audytor ją znów. Zaczęli szperać. Podobno naleźli dawne sprawki i wykryli, jako Cydzik partyzanta udawał, posesora Sikorskiego symulował a szpiegowskie wiódł konszachty... I wyszło na moje! — Na śmierć — wszystkich czworo — aby, aby tę, tę szargulę, suchą jędzę Kościołowską, użalili na kajdany, że, tfy, nadobnej jest słabości czy jak...

Baba w tem miejscu odsapnęła z ulgą, posmakowała wódki i dodała z intencyą:

— Uch! a co do pana Pietrza, to mnie aż piekło. A pan Pietrzuś to hę...

— Bogać nie, mospanie.

— Widzicie — a! — przyświadczyła z zadowoleniem pani Madejowa, nastawiając mu się pod bok. — Kuczyło się? Duchem się naprawi. A jakże jej to?...

— Antoszka.

— Podrucznuje? — Jak toto się patrzy! — Myśleliście u panny Maryi?... Hę?...

Wachmistrza dystrakcya napadła.

— Nie, bo u ten u Pijarów ksiądz zachorzał, więc mospanie do Augustyanów poszła...

— Jakto do Augustyanów?!

— No bo i — dziś rano wszystkich puścili — a jejmości nie było — tedy najgorsze supozycye chodziły!

— I skąd — toć chyba tyla mi się należało, abym na własne oczy oglądała, jako nicponiów pod Zamkiem ubijali.

Wachmistrzowi ziąb po krzyżu przeszedł.

— To pani Aniela?

— A przecie. Ostałam się po dobrej woli i dopiero jak oddział ruszył ze skazanymi, to ja za nim! Miałabym takiego widoku darować! Krwie mi potrza było obaczyć... Ale, bo według czego pan Pietrz o Augustyanach?

Dziurbackiego przekora kolnęła. Nie bacząc na rozmiłowane spojrzenie baby, rąbnął jej prawdę o porządkach w gospodzie i o intencyach Kaśki.

Pani Madejowej na pierwsze słowo aby podbródek się zatrząsł, lecz gdy wachmistrz o mszy za jej duszę wspomniał, babę poderwało, zawinęło i wymiotło z szynkowni...

Profos po tem spotkaniu wrócił do dom kwaśny. Nie szło mu czegoś po sercu, choć sam sobie wytłómaczyć nie umie dlaczego, bo skądinąd zapamiętałość pani Madejowej wydawała mu się słuszną. A przecież coś go jakby odstręczyło, coś oziębiło raptem.

W zamian pani Madejowa, ulżywszy sobie radykalnie na wzburzeniu i za chrześcijańską pamięć Kaśki pogańską wymierzywszy sobie sprawiedliwość, nietylko że impetu zupełnego nabrała do wachmistrza ale i desperackiej chytrości ku zapieczętowaniu go sakramentem.

Wił się Dziurbacki jak piskorz, głuchł na poczekaniu, na poczekaniu każde przypomnienie ogonem wykręcał, strzegł się rozmawiania sam na sam z panią Madejową, Antoszkę wodził, by obecnością swoją bruździła wywnętrzeniom — a z dnia na dzień czuł, że nadchodzi, że zbliża się stanowcza godzina. Rezolucyi zaś prawdziwej dobyć z siebie nie mógł.

Kiedy bo na poddaszu sobie dumał a w rupieciarni majdrował — to mu policzki kraśne pani Madejowej grały a podbródki aże w oczach świdrowały. Układało mu się wówczas wszystko po myśli. Cóż, gospodarstwo się wszystkuje grzeczne. Ona nie młokos ona też prawie, wdowa z wdowcem, a i dziewczynie sporzej będzie.

Lecz kiedy Dziurbackiemu one imaginowane podbródki zaczynały zbliska dołkami się śmiać, zamaszysta korpulencya chybotać nad uchem a białe zęby pani Madejowej łyskać, to profosa taka ogarniała słabizna, taka do tych specyałów niechęć, jak bezzębnego do orzechów gryzienia.

Pani Madejowa podczas we wstępnym boju, napotkawszy na opór — chyłkiem szła. W trzy dni Antoszkę sobie zawojowała, w dwa dni później kuma Olesiowa błogosławiła ją, jako jedyną istotę, która poczciwie o zmocnieniu jej na siłach myśli, aby „Szuwarowi" jeszcze raz uszła. W tydzień zaś, gdy Dziurbacki chwyciwszy się pozoru, że izdebki przy gospodzie są niezręczne i że stąd snadniej „ze

wszystkiem“ zaczekać bodaj do świętego Michała — pani Madejowa rozpoczęła przeprowadzkę na Zapiecek. I przeprowadzkę tak sztuczną, że z koszyczków i puzdereczek, co je nieznacznie znosiła, w oktawę cały dobytek bez mała powędrował na poddasze. A że wskutek tego nieporęcznie było pani Madejowej ogarniać się w pustej izdebce na Starem Mieście — więc sama przez się wynikła potrzeba przeniesienia i pościelowych puchów.

Dziurbacki struchlał na widok poduch. Chciał opierać się, tłómaczyć niewłaściwość takiego najazdu, wreszcie wypomniał szkodę niechybną, którą stąd poniesie ład w gospodzie i tyle dokazał, że za poduchami wtarabaniły się sienniki. A już najbardziej dokuczyła podobno Dziurbackiemu uciecha Antoszki, że ciotka Aniela przecież razem będzie. Jušci niewdzięczne stworzenie. Tu on głowi się, czem smarkatej wygodzić, aby niczego jej nie brakło, a tu jej Madejowa najbliższa! Jużby przy niej ciągle bajała, jużby się do niej łasiła, już jej teraz nic do tego, co dziadek ma w skrzyni a co w ładownicy — babskie toboły, babskie fatałaszki w ślepiach jej siedzą, a dziadek ją, co ten wiatr, mospanie.

Jakoż tego samego dnia w momencie, kiedy pani Madejowa wnosiła na poddasze swój ostatni jasiek, co koroną był jej sążnistych betów — wachmistrz sam nie umiałby zdać sobie sprawy, jakim cudem dotarł pod wolskie okopy do stanowiska bateryi konnei.

Lecz zresztą baterya tylu nowinami i zmianami przemówiła do wachmistrza, że własne turbacye raptem mu się zapodziały.

Artylerzyści ledwie co powrócili właśnie z wyprawy rekonesansowej. I jakiej wyprawy! Huzarzy wysunęli się ku okopom przedniej reduty. Generał Bem czynił był inspekcyę z Sowińskim. Gdy zoczył huzarów — spiął konia i do bateryi. W trzy pacierze zarzucono przodki i z kopyta. Wygarnęli kartaczami na ostre przez metal — i nim ułani się porwali, ze szwadronu huzarów trociny się zostały. Baterya wróciła jak z parady, aby jeden Michalski, co niezdarzony był, czegoś kiwnął się na koniu i stratowało go armatami. Nygus opętany i niezgraba, bo i mańkut. A zmian mnóstwo. Orlikowski podpułkownikuje majorstwo go nawet ominęło, według porządku, że za Wielkiego księcia w inżynierach i artyleryi, majorów nie bywało. Porucznik Jabłonowski ma krzyż, Surmacki na podoficera się wysforował a Zarzycki na podporucznika. Przy dwóch granatnikach są nowe wysówki celownicze — a gniadosz, co pod Radońskim chodził, dostał paskudnika, w jego miejsce jakiś srokacz trębacki. Nie pasuje, bo srokacze jak baterya bateryą jeno trąby nosiły — ale cóż, paskudnik a o remoncie należytym niema kiedy.

I rozgadał się Dziurbacki na dobre a było o czem. W bateryi aż huczało od rozpraw o spodziewanym szturmie. A wachmistrzowi szturm nie pierwszyzna. Więc powiadał, powiadał tak, że mu czegoś żwawiej się uczyniło. Bo i od słuchającej go gromadki taka biła gorącość, taka osobliwa fantazya, iż profosowi się zdało, jakby onej wiosny, kiedy to z tobołkiem na plecach rodzinnym niwom i śmiał się i płakał z wojackiego animuszu.

W tym roku było tak — tak znów pod tym... — tu już ostatnia zgrzytała rozpacz, już nie było ani żywności, ani amunicyów, jednej palisady całej a przecież nie ugryźli, a przecież nie swego, nie własnego człek onego czasu bronił, jeno tego, co Napolion przykazał a Dąbrowski z Kniaziewiczem uradzili. Dopieróż Warszawy!

Prawił tak Dziurbacki. Kupili się dokoła niego żołnierze, zasłuchani w dokumenty przeszłości. Z tego bowiem, co było niegdy, racya o tem, co będzie, jako się stać musi.

Naraz gromkie „baczność!“ dosięgnęło żołnierzów. Gromadka prysła na wsze strony. Wachmistrz dźwignął się z lawety. — Nic mu tam było teraz do baczności, ale zawsze godziło się.

Spojrzał profos ku lewej, skąd komenda się ozwała i mlasnął z ukontentowania.

— Jušci Bem!... Cie i generał... Idzie mu ten amarantowy kołnierz! A jak mu się to bimbaja zgrabnie buliony! — Cóż, mospanie, udał mu się. Zawsze miał o nim dobre pojęcie! Od podporucznikczyny jednoepoletka nań patrzył i doczekał się pociechy... Ale z kimże to on tak deliberuje? — Białe bokobrody, oblicze zeschłe, generał... ale nogą zawija! — Gdzieże tego cudaka oglądał?...

— Bywaj mi, Dziurbasiu! — zawołał ochoczo generał Bem.

Wachmistrz wyprostował się.

— Zdrowia życzę panu generałowi!

— I cóż jegomość kalkulujesz?

— Wytrzymamy, panie generale!

— Dałby Bóg! — No, ale przykładu nam nie zabraknie, kiedy wiarusy takie stają w ordynku...

Wachmistrz na to orzeczenie chciał z miejsca generałowi odrzec, że kiedy mu porucznik Łabanowski o reformie bąkał, tedy i on, profos, do serca wziął, że mu pora — lecz niespodziewanie z poza Bema wysunęła się ku niemu marsowa postać generała, stukając zamaszyście drewnianą nogą.

— Dziurbacki, *saperlot, perlot, perlot!...* Nie poznajesz-że mnie?! — Do kaduka!

Wachmistrz zachłysnął się.



Tymczasem zastał Kaśkę w towarzystwie jakiegoś gwardzisty, rozpartą za stołem.

— A według... jakżeby — pan generał Sowiński!

— Patrzaj, a to żeśmy się gdzie ostatni raz widzieli?

— Pod Możajskiem, kiedy panu generałowi kula...

Sowiński stuknął energicznie nogą.

— Niezdarzona była, *saperlot!* Chmara czasu! To waćpan wachmistrzujesz tym zuchom?!

Dziurbacki zapodziała się nagle i myśl o reformie i zapieckie jego gospodarstwo i najazd pani Madejowej i liczko Antoszki. Wyprężył się, przystrzyżonymi wąsami jak sum ruszył i odparł junacko:

— Według rozkazu trzyma się smyków, mospanie!

XXIII.

W cztery dni po objęciu rządów przez Krukowieckiego, ukoiło się, uciszyło w Warszawie. Sędziwy Małachowski, wypromowany na zastępcę wodza naczelnego, nie miał wrogów. Okrutny proces o zabójstwa i zamieszki skończył się na rozstrzelaniu czterech łotrzyków i uwięzieniu jednej kawiarki. Odetchnęli więc stronnicy Lelewela i księdza i Pułaskiego kommilitoni. Skrzynecki znikł. Prądzyński po sztabie się kręcił, nawet Dębiński zmiękł, przystał na kierowanie po równości z Umińskim obroną Warszawy a nawet z samym „dyktatorem“ politycznie się rozmawiał. Co podobno łatwem było poświęceniem, bo i prezes Rządu narodowego czegoś złagodniał, przycichł, zmętniał.

Napróżnoby teraz w generale Krukowieckim dawnej stanowczości, uporu, gwałtowności szukał. Cztery dni władzy najwyższej z kretesem go zmieniły. Nietylko nie sromał się odmiennego poglądu, lecz się go dopominał. Niekiedy, prawda, wybuchał jeszcze pasyą, zrywał się siny, z zaciśniętemi pięściami na obronę swej racyi, ale zrywał się jak płomień, co przywalony gruzami, dobywa się, wystrzela a nalazłszy jeno głazy, gaśnie. Cały wczorajszy zapał i energia generała skupiła się teraz w pragnieniu, aby czynić, aby działać, aby pogrążyć się w gorączkowej pracy, aby nie ustać, aby ciszy nie dać przystępu.

I stąd wielka rada wojenna piorunem poszła. Nigdy zgodniejszej podobno nie było. Wszystkie racye naraz zatryumfowały!

Łubieński chciał w trzy tysiące jazdy ku Modlinowi przeć, aby Płockie województwa oczyścić z podjazdów nieprzyjacielskich — wyprawiono go natychmiast.

Prądzyński żądał, aby dwadzieścia tysięcy Ramorina poszło na korpus Rozena, który do Pragi się skradał, rozbiło go, opanowało Brześć; zaszachowało tem samem Rüdigera i pozwoliło Różyckiemu do tyłów armii Paskiewicza się dobrać. I stało się, jak żądał Prądzyński. Ramorino wyciągnął bez zwłoki, mając u boku samego twórcę planu.

Dębiński z Bemem mówili, że właściwie należałoby zaniechać obrony Warszawy i wszystkiemi siłami uderzyć na Rozena — ale że obocześnie Małachowski, Krukowiecki, Rybiński, Sowiński i sześciu innych za obowiązek najpierwszy poczytało obronę stolicy — więc istotnie i jednym wygodzono i drugim! Upadek nawet Warszawy nie mógł być rozstrzygnięciem wojny, czego Bem z Dębińskim się obawiali. Teraz przecież w Warszawie było raptem trzydzieści pięć tysięcy ludzi — a całe czterdzieści pięć, poza Wisłą. A niechby dla miasta zła przyszła godzina — no, to Ramorino z Prądzyńskim, rozprawiwszy się z Rozenem, piorunem wrócą.

Co więcej pułkownik Lewiński, który naprzykrzał się na szefa sztabu z Łubieńskim, został nietylko szefem ale i generałem brygady. Książę Czartoryski znów a za jego przykładem Sapieha, Gustaw Małachowski i mendel dygnitarzów conajprzedniejszego rodowodu powzięło intencyę pójścia z Ramorinem i Prądzyńskim na wyprawę wojenną... Osobliwem nieco było to życzenie, bo i co za intencya mogła tylich dygnitarzów, ludzi niewojskowych skłaniać do włóczęgi za główną kwaterą generała Ramorina! Krukowiecki na wieść o tem żachnął się, wykrzywił ironicznie, ale słowa nie rzekł. Rad był pewnie w duchu dobrowolnemu wyjazdowi księcia ekspreezsa Rządu.

Po tak zgodnem odprawieniu rady wojennej, jeszczeby może zmitrężono z wyprawą Ramorina, bo tuż po radzie zagadano śród posłów sejmowych o osłabieniu garnizonu warszawskiego — lecz tu przyszedł z pomocą Krukowieckiemu sam Rozen i nie przeczuwając zapadłego nań wyroku — wychynął tuż pod Wawrem i na Pragę się rzucił. Skończyło się wprawdzie na alarmie ale i na uznaniu dla decyzyi rady wojennej.

Krukowiecki z Małachowskim troszczyli się teraz wyłącznie o zabezpieczenie Warszawy. Było wiele, bardzo wiele do dokonania, tak wiele, że i miesięcy całych czasu nie starczyłoby. Ale niemniej ponad siły czyniono i niemal nad potrzebę!... Wszak ci nielada było pytaniem, czy feldmarszałek wogóle ośmieli się pójść do szturmu. Od tygodnia przecież obozuje tuż i kontentuje się utarczkami przednich straży. Niechybnie okazyi szuka do nawiązania układów. List Witta oczywistym dowodem. Przytem i boi się — redutami się otacza. Miast nieprzyjacielskich dobywać, stawi sobie własne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Napad na tle politycznem.

(Do illustracyi na str. 3).

Znany polityk demokratyczno-narodowy, Roman Dmowski, były prezes Koła polskiego w Dumie. padł w ubiegłym tygodniu ofiarą brutalnego napadu na tle politycznem.

Jak wiadomo, wydało w swoim czasie stronnictwo demokratyczno-narodowe w Królestwie hasło



Straszna katastrofa automobilowa: Ofiara katastrofy ś. p. inżynier Michał Bngielski

bojkotowania tamtejszych szkół rosyjskich. Po sześciu latach zmieniło to stronnictwo stanowisko swoje w tej sprawie i wezwało społeczeństwo do zaniechania dalszego bojkotu. Ta zmiana frontu wywołała w radykalnych sferach politycznych niezadowolenie i protesty, zaatakowano namiętnie przywódców stronnictwa, w szczególności widomą jego głowę, Romana Dmowskiego.

Roznamiętnienie doszło do tego stopnia, że pewien młody człowiek, którego nazwisko jest na razie nieznane, napadł znienacka przechodzącego ulicą Zgoda w Warszawie Romana Dmowskiego, uderzył go w twarz, poczem szybko umknął. P. Dmowski próbował napastnika ścigać, ten jednak tak szybko się ulotnił, że pościg był bezskuteczny.

Napaść ta, bez względu na treść zasadniczą całej sprawy, bez względu na tło i motywy, jest postępkiem tak niekulturalnym i niesympatycznym, że zasługuje na najsurowsze i najostrzejsze potępienie. Istotnie też prawie cała prasa polska w Warszawie, nie wyłączając pism zwalczających demokracyę narodową, skarciła stanowczo metodę ulicznych porachunków na tle politycznem. Czas istotnie, aby nawet młodzi ludzie, a więc skorsi do ulegania bezpośrednim porywom uczuć, zrozumieli, iż uliczne napaści na przeciwników politycznych nie prowadzą do celu a rzucają tylko ujemne światło na sprawców brutalnych zajść.

Koronacya w Anglii.

(Do illustracyi na str. 2 i 3).

Wspaniałe uroczystości koronacyjne króla angielskiego Jerzego V. i królowej Maryi opisaliśmy już w poprzednim numerze, zamieszczając równocześnie kilka zdjęć fotograficznych. W numerze dzisiejszym podajemy jeszcze zdjęcie obojga królestwa w bajecznych, bogatych strojach koronacyjnych, oraz zdjęcie wnętrza opactwa westminsterskiego w Londynie, gdzie koronacya się odbyła. Uwagę zwraca tam starodawne krzesło koronacyjne, na którem siedział w czasie koronacyi król Edward I.

Zjazd związku towarzystw turystycznych.

(Do illustracyi na str. 4).

Corocznie odbywają się w jednem z miast austryackich zjazdy przedstawicieli wszystkich istniejących w Austryi związków turystycznych, celem poinformowania się wzajemnego o swej działalności i ułożenia programu na przyszłość najbliższą. W tym roku zjazd taki odbył się w Krakowie a obrady toczyły się w pięknej sali krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej. Przedmiotem obrad był cały szereg kwestyi z dziedziny ruchu obcych, turystyki, rozkładu jazdy koleją, reklamy i t. d.

Wśród gości byli: radca dworu Schindler z ministerstwa robót publ., radca sekcyjny dr. Henoch z ministerstwa kolei, dr. Benesch, radca komercyalny Maas, radca rządu Englisch, radca ces. Domenigg, delegaci związków turystycznych z wielu miast, nadto grono członków galicyjskiego krajowego Związku turystycznego między tymi poseł dr. Lisiewicz ze Lwowa.

Program zjazdu prócz obrad obejmował zwiedzenie Krakowa i okolicy, oraz wycieczki do Wieliczki i Zakopanego, które dzięki pięknej pogodzie w zupełności się powiodły i pozostawiły po sobie bardzo miłe wrażenia.

W walce z gruźlicą.

Corocznie miliony ofiar porywa z pośród nas najstraszniejszy wróg rodzaju ludzkiego, gruźlica. Do walki z nią staje społeczeństwo coraz częściej i skuteczniej, usiłowania jednostek i korporacyi wydają coraz obfitsze owoce.

Jednym z kroków, posuwających całą akcyę wybitnie naprzód, jest zakładanie uzdrowisk w odpowiednich miejscach, gdzie zagrożeni gruźlicą mogliby znaleść ratunek i pomoc. Zagranica posiada ich nierównie więcej, w Galicyi mamy jedno w Hołosku pod Lwowem, drugie projektowane wśród lasów puszczy niepołomickiej.



Straszna katastrofa automobilowa: dr. Hanakowski Franciszek Łopata kierownicy akcyi ratunkowej.

Otwarcie uzdrowiska w Hołosku Wielkiem odbyło się w ubiegłą niedzielę; wobec licznie zgromadzonej publiczności, reprezentantów władz i kuracyuszów poświęcono barak, systemu inżyniera Frommera. Towarzystwo „Walki z gruźlicą" nabyło go za cenę 12.000 koron i ma zamiar przeprowadzić próbę z pozostawieniem go na miejscu przez porę zimową, do czego jest specyalnie przystosowany. W roku bieżącym pomieszczono w uzdrowisku czterdziestu ubogich chorych.

Po ceremonii kościelnej złożył prezes Towarzystwa prof. dr. Wiczkowski wyczerpujące sprawozdanie z dotychczasowej działalności, poczem przemawiali: ks. Wagner, prezydent Ciuchciński, wiceprezydent Dębowski, poseł Hudec i inżynier Frommer. Na zakończenie prezydent Izby lekarskiej dr. Festenburg postawił wniosek, aby zarządowi Towarzystwa wyrazić uznanie, co też przez aklamacyę przyjęto. Uczestnicy zgromadzenia otrzymali drukowane sprawozdanie z dotychczasowej działalności Towarzystwa.



Straszna katastrofa automobilowa: Ciężko poraniony dr. M. Schlank.

Nowa afera szpiegowska.

(Do illustracyi na str. 19).

W ubiegłym tygodniu policya lwowska dokonała aresztowania słuchacza politechniki lwowskiej Leszka Wacława Sawickiego, lat 21 liczącego, pochodzącego z Grajewa, w guberni Łomżyńskiej. Nagromadzono bowiem przeciw niemu materyały dowodzące, że uprawiał szpiegostwo na korzyść jednego z sąsiednich państw. Doniesiono mianowicie policyi, że Sawicki zachowuje się w mieszkaniu swojem podejrzanie, że nocną porą rozmawia przez okno po rosyjsku z jakiemiś osobami, stojącemi na ulicy, że znika w nocy z domu i urządza częste wycieczki w okolice Lwowa, robiąc zdjęcia i plany.

W chwili aresztowania Sawickiego dokonano w jego mieszkaniu rewizyi, przyczem znaleziono kwestyonaryusze, odnoszące się do ruchów wojsk, a także jakieś zdjęcia. O ile materyały te mają cechę szpiegowskiej roboty, orzeknie sztab generalny, któremu będą przesłane. Na razie prowadzi się w krajowym sądzie karnym śledztwo, Sawicki zaś stanowczo wypiera się winy, twierdząc, że z własnej ciekawości zajmował się kwestyami, które naraziły go na aresztowanie.



W walce z gruźlicą: Uczestnicy uroczystego otwarcia uzdrowiska w Hołosku Wielkiem pod Lwowem.

Kronika tygodniowa.

Po humorystyce wyborczej rozpoczyna się teraz humorystyka powyborcza. Kilka jej próbek będę miał zaszczyt przedstawić P. T. i O. P. czytelnikom (P. T. = *pleno titulo*, O. P. = obojga płci, — a kto chce niech sobie tłómaczy P. T. = palącym tytoń, a O. P. = opłacającym podatki; gdyby zaś zamiast „czytelnikom“ było: „czytelniczkom“, to P. T. mogłoby znaczyć: „pełnym temperamentu“, a O. P. „oczekującym ploteczek“, „oczywiście pięknym“, „olbrzymio ponętnym“ i t. d.).

Ze wstępnego artykułu *Czasu* kto ma oczy lub okulary do czytania, może się dowiedzieć, że „wybory odbyły się z największą troskliwością o przestrzeganie ustaw“. Niech P. T. i O. P. czytelnicy (tu P. T. znaczy: prawdzie towarzyszący, a O. P. obłudzie przeciwni) nie sądzą, że z nich żartuję. Te słowa „stoją“ czarno na białem w *Czasie*, a nie odnoszą się do wyborów angielskich, francuskich, dolno-austryackich, czeskich a choćby galicyjskich z przed lat trzydziestu, lecz do ostatnich zaczętych 13 czerwca r. b. na przestrzeni między Białą a Zaleszczykami. Każdy zaś, kto nie jest ślepy na oba oczy i głuchy na oba uszy, wie wybornie, że nie mieliśmy dotychczas wyborów, którychby przebieg urągał do tego stopnia wszelkim ustawom nie tylko papierowym ale logicznym i etycznym. Jak nigdy wezbrały i wylały wszystkie rzeki przekupstwa, korupcyi, presyi, fałszerstwa. A humorysta *Czas* pisze, że „wybory odbyły się z największą troskliwością o przestrzeganie ustaw“.

Natomiast znajdujemy sporo trafnych uwag o wyborach w artykule *Widnokręgów*, choć przebija z nich pewien optymizm w poglądzie na wybory wiejskie. Specyalny hołd składa to pismo wyborcom okręgu krakowskiego, w którym jakoby ani jeden głos nie padł za pieniądze lub poczęstunek. Jestto oczywiście przesada, ale o ile mi znawcy stosunków zaręczali, rzeczywiście okręg krakowski odznaczył się czystością wyborów. Rzecz dziwna, bo zaraz w sąsiedztwie, o miedzę, panowała niesłychana korupcya, presya, handel sumieniem. Naoczni a godni wiary świadkowie kreślą tak wstrętne obrazy, że chciałoby się powiedzieć: „kłamiecie, rzucacie podłe kalumnie!“ gdyby fakta niestety, nie stwierdzały słów ich prawdziwości. Nie mówiąc już o pijatyce, dochodziło do tego, że całe wsie dobijały hurtownego targu z kandydatami. W pewnej gminie, posiadającej obecnych 117 wyborców, zgodzono się na 4 korony od „sztuki“ i 117 głosów co do jednego padło na 4 koronowego kandydata. W ostatniej chwili, według obliczeń pewnego „kasyera“, każdy głos w tym okręgu kosztował 18 koron, wliczając oczywiście poczęstunki i zarobki hyen. Z uznaniem i podziwem wyrażano się o kilkunastu wyborcach pewnego przysiółka, którzy ujęci przemówieniem jednego z kandydatów, dotrzymali mu wierności, mimo że cała gmina uległa brzęczącym argumentom drugiego kandydata.

Ale wracajmy do spraw wesołych.

Do wyższej humorystyki zaliczyć należy przeznaczone dla P. T. i O. P. (prawdę tuszujących i orderów potrzebujących) czytelników biadania *Czasu* z powodu ustąpienia dra Głąbińskiego z fotelu ministra kolei. — Że stała się krajowi krzywda, to przyznaje nawet konserwatywny *Dziennik poznański*, zaznaczając, iż lubo nie jest zwolennikiem endecyi, musi żałować ustąpienia z ważnej posady człowieka, który stał się niewygodny centralistom, bo chciał wprowadzić reformy w duchu obrony krajów przed wyzyskiem Wiednia. Rzeczywiście był to ważny posterunek, którego stratę w pierwszym rzędzie odczuje Galicya. Ale niestety przeciw Głąbińskiemu walczyła nietylko namiętnie *Neue freie Presse* z innymi organami centralistycznymi, bo zarówno z nią podkopywały jego stanowisko obozy narodowe (?), stanowiące tak zwany blok namiestnikowski. Z góry z tryumfem głoszono, że upadek narodowej demokracyi, to upadek Głąbińskiego. A kiedy tajne życzenia bloku zaczęły się spełniać, nie było prawie dziennika galicyjskiego, z wyjątkiem wszechpolskich, któryby nie był głosił, że „Głąbiński musi wyciągnąć konsekwencye“. Na podaną gdzieś fałszywą wiadomość, że Głąbiński wytrwa do jesieni (jeszcze o dymisyi całego gabinetu nie było mowy), z oburzeniem pisano o tym „braku ambicyi“, o tej rzekomej „zachłanności“. W tej konserwatywno demokratyczno ludowcowo blokowej prasie, nie odezwał się ani jeden głos przychylny Głąbińskiemu, nikt go nie powstrzymywał od ustąpienia, każdy go do niego popychał. A kiedy stało się zadość konsekwencyi i otwarcie wypowiadanym życzeniom blokowym, kiedy „dla dobra kraju“ na jednym z najważniejszych foteli zasiadł centralista Röll, *Czas* czyni zarzuty Głąbińskiemu, że bez przyczyny z tak ważnego stanowiska ustąpił. Stary, niepoprawny obłudnik. Wolę już drugi organ konserwatywny, *Gazetę poniedziałkową*, — ta przynajmniej jest konsekwentna, kopie Głąbińskiego, jak go kopała przedtem, a że twierdzi, iż na jego ustąpienie „czekał niecierpliwie prawie kraj cały, a on „trzymał się portfelu“ z rozpaczliwym uporem rękami i nogami, odsuwając myśl ustąpienia z dziecinną desperacyą“, to owe bezczelne kłamstwa na jej szpaltach nikogo nie rażą.

Zresztą *Gazecie poniedziałkowej* i dlatego wiele przebaczyć należy, bo swą „poważną“ misyę spełnia z nieocenionym humorem. Czyż może być coś zabawniejszego, jak np. poza, którą przybiera to pisemko, stając w obronie p. namiestnika. Rozstawionemi czcionkami oświadcza *urbi et orbi*: „Absolutnie **nie dopuścimy** do tego, by na arenie parlamentarnej wystąpili (wszechpolacy) przeciw namiestnikowi. Namiestnik jest **widomą głową** naszego społeczeństwa wobec rządu wiedeńskiego i **zagranicy, nie pozwolimy** więc **pod żadnym warunkiem, by w jakikolwiek sposób stanowisko jego miało być zdyskredytowane**“. Owo: **my nie dopuścimy, my nie pozwolimy** jest kapitalne, jeżeli się zważy, że za *Gazetą poniedziałkową* stoi jeden jedyny mąż stanu, jakim jest były sekretarz związku turystycznego.

Wyobrażam sobie, w jaki dobry humor wprawił p. namiestnika artykuł *Gazety*. Odetchnął, bo zrozumiał, iż pod ochroną takiej potęgi włos mu z głowy nie spadnie. Za to przypuszczam, znając trzeźwość i rozum JE Bobrzyńskiego, że nie musiał mu być miły panegiryk *Czasu*. Prawił on o jego „zwycięskich zapasach“ w sprawie rozszerzenia warunków narodowego rozwoju w naszym kraju, dowodził, że Bobrzyński stoi tak wysoko, „że go zarzuty dosięgnąć nie mogą“ (?), zaręczał wreszcie, że „historya wykaże co mu ma do zawdzięczenia nasz byt narodowy“ (??!!). Oświadczamy, że nie mamy zamiaru stawiać JE Bobrzyńskiemu „niedosiężnych“ zarzutów, choć nie był nigdy od nich wolny nawet największy geniusz i największy mąż stanu (boć tak geniusze jak i najwięksi mężowie stanu są ludźmi, a więc mają pewne ułomności i popełniają pewne błędy), ale i największy zwolennik osoby i polityki JEkscellencyi p. namiestnika, przyznając mu rozum, zasługi, dobrą wolę i t. d. nie odnalazłby nic takiego, coby go upoważniało do twierdzenia, że nasz byt narodowy ma mu wiele do zawdzięczenia — i ten największy zwolennik nie mógłby przez szkła powiększające dopatrzeć się owych „zwycięskich zapasów“. A powoływać się na przyszłe zdanie „historyi“, to czyste drwiny, boć historya, jeżeli nie jest stronniczym, tendencyjnym pamfletem, pisze sumienną prawdę, a ta stroni zarówno od paszkwilów jak panegiryków. Ekscellencya Bobrzyński jako były historyk (przed kilku laty już oświadczył publicznie, że się nią oddawna nie zajmuje) wie o tem najlepiej i dlatego pozwalam sobie wątpić, czy jest wdzięczny *Czasowi*, że w kadzeniu mu stracił wszelką miarę. Czy niedość z jego stanowiska było napisać, że JE. Bobrzyński jest człowiekiem wybitnym, zdolnym, znakomitym, energicznym, szerokich poglądów, poważnych zasług, — na co można się zgodzić lub o co można się posprzeczać — ale po co opowiadać, że historya, a więc przyszłe pokolenia, będą stawiać pomniki wdzięczności JE. Bobrzyńskiemu za ratowanie czy utrwalenie naszego bytu narodowego? Przesadziłeś, panegirysto!

Możesz jednak powiedzieć: nie ja jeden przesadzam. I będziesz miał słuszność. Przypominają sobie czytelnicy, jak przepowiedziałem, że rydzyńszczyka Loewensteina będą prosić wyborcy o zatrzymanie mandatu, a choćby o przyjęcie go na nowo. Co prawda, wyborcy jeszcze milczą, ale wyręczyła ich rada naczelna polskiego stronnictwa demokratycznego. Szanowna ta osoba ogłosiła uchwały, powzięte na swojem ostatniem posiedzeniu — w jednym wierszu wyraziła ubolewanie nad wypadkami drohobyckimi, a w sześciu wierszach rozpłakała się nad rezygnacyą dra Loewensteina i wniosła pokorną do niego prośbę aby nie pozbawiał Koła polskiego swego cennego współpracownictwa i swej doświadczonej rady. Czy wezwaniu temu dr. Loewenstein uczyni zadość, nie wiemy, ale to wiemy, że naczelna rada demokracyi mocno przesadziła i uchwałą tą na korzyść rydzyńszczyka skompromitowała się potężnie.

Wogóle wszelkie „rady“ mają gwałtowny pociąg do kompromitacyi. Oto Rada narodowa skompromitowała się raz, stawiając we Lwowie jakiegoś Orensteina, który otrzymał aż 67 głosów, a drugi raz przez to, że nie mogła wymódz na mieszkańcu pałacu pod kawkami, aby dla jakiegoś Steinhausa nie obalił kandydata Rady narodowej, zasłużonego posła, byłego wiceprezesa Koła polskiego i wiceprezydenta Izby, prof. Stanisława Starzyńskiego.

Taki sam posłuch jak Rada narodowa „pod kawkami“, mają w Radzie kolejowej jej krakowscy członkowie. Żądali, aby powiększyć liczbę wagonów na kolejach galicyjskich, aby lepiej w nie zaopatrzyć stacyę krakowską i aby rezerwować dla Krakowian miejsca w wozach sypialnych, jadących na zachód — a radca ces. p. Karliński (może Polak, bo nazwisko polskie) odpowiedział krótko: wagonów jest dosyć, a zarezerwowanie miejsc w wagonach sypialnych nie da się przeprowadzić. I basta! — co tu się bawić w długie rozprawy. Za to p. Exner rzucił na nas okiem łaskawem i prosił o przeprowadzenie studyów w sprawie urządzenia kolei dla przewożenia frachtów między Wiedniem i Krakowem — uważając to dobrodziejstwo jako rekompensatę... za kanał Dunaj—Odra. Są więc i w Wiedniu humoryści.

A bawiła ich u nas przed tygodniem spora paczka. Przywieźli ze sobą humorystów i z innych miast monarchii — przyjmowali zaś ich humoryści krakowscy. Urzędowo wszyscy ci panowie nazywali się nie humorystami, lecz turystami, członkami związku turystycznego. Obradowali (przynajmniej udawali, że obradują) nad rozwojem turystyki — mówili o reklamach, ogłoszeniach, fotografiach, zapomnieli tylko o jedynym potężnym, niezawodnym środku, t. j. o zniżeniu dla turystów ceny biletów kolejowych. I w tem tkwiła ich humorystyka. Ktoś coś tam wprawdzie o tem bąknął, lecz otrzymał od p. Henocha, przewodniczącego zjazdu, odpowiedź, że dyrekcya kolei chętnie użyczałaby biletów po cenie zniżonej dziennikarzom, gdyby zobowiązali się opisywać zwiedzane miejscowości. Pomijając, czyby opłaciło się dziennikarzowi pod takim warunkiem uzyskiwać zniżkę biletu, uważam taką propozycyę za wprost humorystyczną. Jeżeli dziennikarz ma zapłacić artykułem, „odpisać“ otrzymany opust na bilecie, to śpiewaczka musiałaby go „odśpiewać“, lekarz „odleczyć“, krawiec „odrobić“ tużurkiem panu dyrektorowi, a szewc uszyć buty za darmo sekretarzowi dyrekcyi. Nie sami bowiem tylko dziennikarze uprawialiby chętnie turystykę, gdyby to mniej kosztowało. A bez tego uprzystępnienia ani rusz — ot tylko członkowie komitetów związku turystycznego przejadą się co roku gdzieindziej (i to za darmo) i zjedzą (również za darmo) obiad dla nich przez tę lub ową radę miejską wydany. Może zresztą który z oddziałów związku coś robi, ale w Krakowie jestto tylko zabawka, podobno dość nawet kosztowna, nic a nic nie wpływająca na rozwój turystyki.

Ale co tu mówić o turystyce, jeżeli nasze dyrekcye kolejowe nie mogą się nawet na tyle zdobyć, aby za przykładem całego świata zniżyć na lato ceny biletów do pobliskich miejscowości. Bo, cofają nawet to, co dały, przykład: Zakopane. A jakże inaczej o miedzę rzecz tę rozumieją. Taka np. kolej warszawsko wiedeńska wysyła codziennie kilka osobnych pociągów miejscowych za połowę ceny do najbliższych 10 stacyi i przystanków, kończąc na Skierniewicach (przestrzeń równa przestrzeni Kraków—Tarnów), — a świeżo od 1 lipca zaprowadziła jeszcze na niedzielę osobny pociąg do pierwszej większej stacyi Pruszkowa (koło 14 kilometrów), w którym to pociągu bilet **powrotny** kosztuje dla dorosłych 56 halerzy a dla dzieci 15 halerzy.

Żadne fotografie, sztuczne reklamy, ogłoszenia nie pomogą turystyce, jeżeli nie będzie finansowo uprzystępniona ludziom średnio lub małozamożnym.

Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach.

Dzieje Zakonu OO. Pijarów.

Zakon ks. Pijarów albo Zgromadzenie Szkół pobożnych *(Ordo clericorum pauperum Matris Dei scholarum piarum)*, założony w Rzymie w r. 15?7, a sprowadzony do Polski przez Władysława IV. rozpoczął wkrótce w całej Europie nader błogą działalność. Początkowe losy nie były zbyt przyjazne, Pijarzy walczyć musieli z różnemi przeciwnościami, a głównie z zawiścią nauczycieli świeckich, obawiających się, aby im nie odebrano chleba. Z czasem znaleźli się jednak i możni opiekunowie, głównie papieże Klemens VIII. i IX. Paweł V., a zwłaszcza Inocenty XI, którzy Zgromadzeniu nadali liczne przywileje. Dzięki im, jeszcze za życia założyciela rozszerzyli się Pijarzy po całych Włoszech. później po Morawii, Czechach, Polsce, Węgrzech Hiszpanii i Niemczech. W miarę rozmnażania kollegów, powstawały i oddzielne prowincye (polska od r. 1662), zarządzane przez własnych prowincyałów, zależnych od jenerała, przebywającego stale w Rzymie.

Po przybyciu do Polski osiedlili się Pijarzy najpierw w Warszawie, gdzie król Władysław ufundował dla nich kollegium przy ulicy Długiej, następnie otworzyli swe zakłady w Krakowie, Chełmie, Łowiczu, Piotrkowie, Radomiu, Wieluniu, Łukowie, Radziejowie, Opolu, Lwowie i Rzeszowie, na Litwie zaś w Drohiczynie, Lidzie, Lubieszowie, Międzyrzeczu, Wilnie i Wilkomierzu. Przy każdem kollegium mieścił się i zakład wychowawczy dla młodzieży, gdzie tysiące jej kształciło się na dzielnych obywateli kraju i jego pożytek. Z pomiędzy polskich członków Zgromadzenia wielu położyło ważne zasługi na polu piśmiennictwa i oświaty krajowej, między innymi złotemi głoskami w dziejach zakonu zapisały się nazwiska Stanisława Konarskiego, reformatora naszego szkolnictwa, Dogiela, Adama Jakubowskiego, Franciszka Krupińskiego, Onufrego Kopczyńskiego i wielu innych.

Z biegiem lat prowincya polsko litewska, tak niegdyś kwitnąca, zaczęła podupadać. W roku 1804 posiadali mimo to jeszcze Ojcowie Pijarzy w prowincyach zabranych jedenaście kollegiów ze 147 członkami i tyleż w Królestwie Polskiem, po roku 1832 pozostaje już tylko sześć kollegiów w prowincyach rosyjskich, dziesięć zaś w Królestwie Polskiem. Do dnia dzisiejszego dotrwał jedynie dom krakowski, który pomimo wielu trudności i przeciwności pielęgnował dalej tradycye księdza Konarskiego. Stosunki w klasztorze krakowskim pozostawiały może wiele do życzenia, celem też zaprowadzenia ładu i porządku przybyło z Hiszpanii kilku energicznych i zdolnych zakonników, a w ciągu kilku lat zakon odnowił się z gruntu i zabrał do owocnej pracy.

Z hiszpańskich Ojców, którzy w Krakowie osiedli, kilku nie zniosło różnicy klimatu, musieli też wrócić do swego kraju, pozostało jednak trzech bardzo zdolnych i zapobiegliwych zakonników, którzy w krótkim czasie doskonale nauczyli się po polsku, zżyli z naszymi stosunkami i rozwinęli nadzwyczaj energiczną działalność.

* * *



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Wspaniała aleja świerkowa w parku Rakowickim, długa na pięćset metrów, skąd roztacza się wspaniały widok na całą okolicę.



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Grono nauczycielskie nowego zakładu wraz z księżmi: prowincyałem, rektorem i prefektem.

Konwikt krakowski.

Obecnie utrzymuje zakon OO. Pijarów w Krakowie konwikt dla młodzieży i prywatne gimnazyum realne z prawem publiczności przy ul. św. Jana, w ślad zaś tradycyi ks. Konarskiego postanowiono znacznie rozszerzyć zakres dotychczasowej działalności i utworzyć konwikt, zakrojony na europejską skalę. W tym celu zakupiono w ubiegłym roku obszerny folwark w Rakowicach i tam w uroczym parku o powierzchni siedmnastu morgów przystąpiono do budowy monumentalnego, a zastosowanego do wszelkich wymogów hygieny i pedagogii gmachu, mającego pomieścić gimnazyum realne i konwikt dla młodzieży.

* * *

Nowy zakład.

Budowa, której plany sporządził zaszczytnie znany w kraju i za granicą architekt dr. Jan Zubrzycki, pochłonie przeszło 1.200.000 koron. W bieżącym roku stanąć ma jedno skrzydło, przeznaczone dla niższego gimnazyum, koło którego zwija się pracowicie rój rzemieślników pod kierunkiem budowniczego p. W. Marczyńskiego. Choć część ta, która w jesieni ma już stanąć pod dachem, jest bardzo obszerna, obliczono ją na razie tylko na stu wychowanków, wychodząc z zasady, że nauka, jeśli ma być skuteczną i obfitą w owoce, nie może się odbywać w klasach przepełnionych, co niestety codziennie konstatujemy w naszych zakładach rządowych, cierpiących z małymi wyjątkami na chroniczne przeludnienie. Z tego też powodu nowy zakład wychowawczy przeznaczono na razie dla zamożniejszej młodzieży, koszt bowiem całkowitego utrzymania jednego wychowanka wynosić będzie od 150 do 200 koron miesięcznie, aby bodaj częściowo pokryć ogromne wydatki i opędzić koszta amortyzacyi wyłożonego kapitału.

Przed sporządzeniem planów zwiedził architekt dr. Zubrzycki najsłynniejsze europejskie internaty i spożytkował wszystko, co gdziekolwiek spotkał odpowiadającego dzisiejszym wymogom hygieny, pedagogii i wygody. Bez wątpienia każdemu musi się też spodobać nowy rodzaj budynku wychowawczo naukowego, w którym charakterystyczną jest wielka dwupiętrowa hala centralna, umieszczona w środku, a pokryta podwójnym dachem szklanym. Mierzy ona 30 metrów długości a 12 szerokości, ma być wewnętrznym zbiornikiem światła i powietrza, a zarazem służyć w razie potrzeby jako sala popisowa, gimnastyczna i bawialna w porze deszczowej i zimowej.

Wzdłuż tejże hali wiszą przy murach dwie fantastyczne galerye, które mają zastąpić korytarze i przyczynić się do rozwiązania wielkiego i trudnego problemu świetlnego i powietrznego, tak ważnego w każdym internacie, a dotąd tak niestety

Tradycye ks. Konarskiego.

Wychowanie młodzieży w myśl zasad ś. p. ks. Konarskiego polega głównie na moralnem udoskonaleniu człowieka, a opiera się na pierwiastku czysto narodowym. W młode serca od pierwszych chwil rozwoju wszczepia się przeświadczenie, że pierwszym i najważniejszym obowiązkiem każdego obywatela jest praca dla dobra Ojczyzny i własnego społeczeństwa. To też nic dziwnego, że powodzenie szkół pijarskich było niezwykłe, usiłowania ks. Konarskiego obudziły w całej Polsce zapał do nauki i krzewienia oświaty w jak najszerszych sferach, a chlubnym świadectwem zabiegów duchownych pedagogów jest potężny zastęp zasłużonych pracowników na niwie odrodzenia narodowego, którzy tutaj czerpali swą wiedzę i zaprawiali się do przyszłych zapasów życiowych. Ks. Konarski, zaprowadzając w Polsce nowy zupełnie i dotychczas nieznany typ zakładów wychowawczych, korzystał wiele z doświadczenia nabytego za granicą, skąd przyswoił sobie to, co uznał za najodpowiedniejsze i wreszcie potrafił przełamać zakorzeniony u nas przed laty przesąd o nauczaniu realnem, które dziś tak skutecznie staje do walki z przestarzałym już kierunkiem wyłącznie klasycznym, pozbawionym wszelkiej żywotności i mogącym raczej zniechęcić, a nie zagrzać do pracy.

* * *



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Grupa uczniów zakładu z księdzem prefektem Martinezem Ponzem w pośrodku.



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Staw w parku Rakowickim, z widokiem na wnętrze ogrodu i wyspę.

traktowanego po macoszemu. Wszelkie ubikacye, jak sale szkolne, sypialne, refektarz i t. d. znajdują się umiejętnie rozłożone około tejże hali centralnej, ułatwione więc jest w wysokim stopniu dozorowanie i ustawiczne nie spuszczanie jej z oka.

Budynek szkolny w siedmnastomorgowym ślicznym parku, z wspaniałą aleją starych drzew szpilkowych, rozciągającą się na przestrzeni pięciuset przeszło metrów, gdzie młodzież zdala od huku, gwaru i kurzu miejskiego znajdzie wiele świeżego powietrza tak niezbędnego do racyonalnego rozwoju fizycznego, który musi zawsze iść w parze z umysłowym, jeśli wogóle wychowanie ma być opartem na racyonalnych podstawach. Cóż nam bowiem po szkole, choćby z niej wychodzili i najuczeńsi nawet ludzie, jeśli nie zwraca ona uwagi na hygieniczne życie i cielesny rozwój wychowanka? Minęły już bezpowrotnie te czasy, kiedy to dzielność pedagogiczną i doniosłość systemu nauczania obliczano z ilości wykutych na pamięć reguł gramatycznych, słówek łacińskich lub greckich i suchych dat historycznych!



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Ogólny widok parku Rakowickiego, w którym mieści się nowy budynek gimnazyum realnego. Na sąsiadującem z nim błoniu wychowankowie konwiktu oddają się z zapałem grom i zabawom sportowym.



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Księża Pijarzy w naturalnej altanie pośrod drzew parku Rakowickiego.

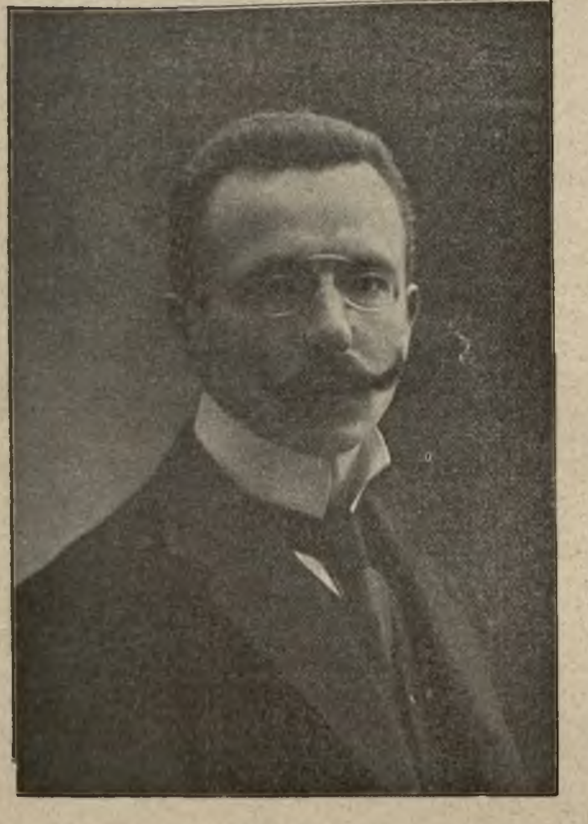
W parku zakładowym znajdą pomieszczenie boiska do zabaw sportowych i gier na otwartem powietrzu, obszerna arena dla cyklistów i amatorów konnej jazdy, kręgielnia i wiele innych rzeczy, uwzględnianych przy nowoczesnem wychowaniu młodzieży. Jest tu także obszerny staw zarybiony, gdzie młodzież znajdzie sposobność do ćwiczenia się w sporcie wioślarskim i może używać przyjemności rybołostwa; z sąsiedniego pagórka roztacza się wspaniały widok na mury starego Krakowa, oddalonego od Rakowic o niespełna trzydzieści minut pieszej drogi, w dali zaś na panoramę Karpat. W dni pogodne łatwo stąd gołem okiem dostrzec majaczące na horyzoncie niebotyczne szczyty Tatr.

Obok zakładu wznieśli Ojcowie Pijarzy obszerną, a będącą już na ukończeniu kaplicę, która służyć ma zarówno wychowankom jak i miejscowej ludności. Przy pomocy Bożej całe przedsięwzięcie ukończone będzie w roku przyszłym, a przed zimą przeniesie się z miasta do Rakowic cały zakład wychowawczy, mieszczący się dotąd wśród miejskich murów.

Na razie mają XX. Pijarzy w kollegium krakowskiem dwie pierwsze klasy gimnazyum realnego im. ks. Stanisława Konarskiego, posiadające prawo publiczności na mocy rozporządzenia ministerstwa wyznań i oświaty z dnia 25 lipca 1910 L. 31.434, z początkiem września otwartą będzie klasa trzecia. Wszystkie trzy klasy wraz z konwiktem w drugiem półroczu przyszłego roku szkolnego przeniesione będą do nowego gmachu w parku Rakowickim, z którego już dziś korzystają konwiktorowie kollegium krakowskiego, oddając się tutaj w czasie wolnym od nauki grom i zabawom sportowym.

W klasach udzielają nauki najwybitniejsze siły z pomiędzy profesorów krakowskich szkół średnich, kierownikiem jest zaś prof. gimnazyum św. Anny, pan Zachemski. Z czasem, gdy obecni klerycy Polacy, którzy bawią na wyższych studyach za granicą, ukończą swe wykształcenie, posiędzie zakład szereg ukwalifikowanych sił nauczycielskich z pośród członków Zgromadzenia.

Ponadto już z dniem 1 września b. r. otwiera się w pomienionym parku Rakowickim elementarną szkołę czteroklasową, z którą będzie połączona szkoła przygotowawcza do średnich zakładów naukowych, która istniała dotąd w kollegium krakowskiem.



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Józef Olkusznik, znany w Krakowie przemysłowiec i właściciel biura handl., jeneralny pełnomocnik krakowskiego kollegium.



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Ogólny widok krakowskiego kollegium pijarskiego od strony plantacyi.

Rozkład nauki i plan, obowiązujący w obu tych szkołach, jest zupełnie identyczny z planami szkół publicznych, nauki i nadal udzielać będą jedynie nauczyciele, posiadający pełną kwalifikacyę. Ponadto

uwzględnia regulamin wszystkie potrzeby delikatnego wieku dziecięcego i zawiera cały szereg ćwiczeń sportowych, mających na celu rozwój sił fizycznych młodego pokolenia. Wychowankowie mają ponadto zapewnioną stałą opiekę lekarską ze strony lekarza zakładowego. Do szkoły elementarnej przyjmuje się dzieci w wieku od lat sześciu do dziesięciu, do przygotowawczej od dziewięciu do dwunastu, do gimnazyum zaś od dziesięciu do czternastu. Wpisy do wszystkich klas gimnazyum realnego, szkoły przygotowawczej i elementarnej rozpoczynają się w dniu 15 sierpnia w kollegium przy ul. św. Jana w Krakowie, egzamin wstępny do pierwszej klasy gimnazyum realnego odbędzie się w dniach od 1 do 7 września b. r., poczem bezpośrednio rozpocznie się regularna nauka.

Ten, tak pomyślny rozwój krakowskiego kollegium zawdzięczamy w pierwszej linii niezmordowanej energii członków Zgromadzenia Ojców Pijarów, w pierwszym rzędzie księdzu prowincyałowi Borrelowi, rektorowi ks. Barraneche i energicznemu, a przecież nadzwyczaj lubianemu przez młodzież prefektowi, ks. Martinez'owi, którzy z zaparciem się dokładają wszelkich starań, aby doprowadzić piękne dzieło jak najprędzej do skutku.

Lwią część zasługi przypisać należy także dzielnemu i sprężystemu kierownictwu administratora i pełnomocnika Zakonu, pana Józefa Olkusznika, właściciela Domu handlowo przemysłowego w Krakowie przy ul. Sławkowskiej L. 29, który sprawami finansowemi tak umiejętnie pokierował, że przedsięwzięcie pomimo wielkich przeszkód i trudności materyalnych wnet będzie mogło być urzeczywistnione. Jego osobistej interwencyi, podjętej wspólnie z niezmordowanym rektorem ks. Antonim Barraneche u wszystkich władz kościelnych i administracyjnych zawdzięczamy rychłe zrealizowanie wielkiego dzieła, którem zapisał się tak dodatnio w dziejach rozwoju krakowskiego kollegium OO. Pijarów; ono też trudy jego i starania w miłej przechowa pamięci.

Ponadto nie szczędzili swej pomocy i poparcia Najprzewielebniejsi księża biskupi Nowak i dr. Bandurski, ks. prałat dr. Wądolny, starszy radca namiestnictwa we Lwowie Matkowski, szef sekcyi w ministerstwie wyznań i oświaty Keller, p. Lewicki, referent gabinetowej kancelaryi, szef sekcyi w ministerstwie Galicyi Rosner, radca Rozwadowski w Krakowie i referent krakowskiego starostwa p. Załewski. Wreszcie szczególniejsza wdzięczność i uznanie należy się wiceprezydentowi miasta Krakowa, radcy dworu p. Saremu i dyrektorowi Ustrzedni Banka p. Kolarskiemu za jego przychylną i szybką pomoc przy sfinansowaniu przedsięwzięcia.



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Twórca planów nowego gmachu, znany architekt krakowski, dr. Jan Sas Zubrzycki.

W poniedziałek dnia 26 czerwca b. r. odbyła się w Rakowicach piękna uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowobudujący się gmach realnego gimnazyum. Wzięli w niej udział ks. biskup Nowak, delegat namiestnictwa radca dworu Fedorowicz, hrabina Stanisławowa Tarnowska, dyr. gimnazyum św. Anny radca Kulczyński, kierownik prywatnego gimnazyum pijarskiego prof. Zachemski z profesorami i uczniami zakładu, twórca planów architekt dr. Zubrzycki, prowadzący budowę budowniczy W. Miarczyński, dyrektor krakowskiej filii Ustrzedni Banka Kolarski, ks. proboszcz Rychlak, członkowie kollegium pijarskiego z ks. prowincyałem Borrelem, rektorem ks. Barraneche i prefektem ks. Martinezem na czele, przedstawiciele prasy, zaproszeni goście i ludność wiejska miejscowa.

Ceremonii kościelnej dopełnił ks. biskup Nowak. Po odprawieniu przepisanych modłów jeden z księży odczytał akt pamiątkowy, który następnie, po podpisaniu przez obecnych, wmurowany został pod jednym z węgłów nowego gmachu. Następnie przemówił ks. biskup w podniosłych słowach, podnosząc z uznaniem energiczną akcyę kilku skromnych zakonników, osiadłych przy ul. św. Jana, dzięki którym założono już w Krakowie trzy niższe klasy realnego gimnazyum, a obecnie przystępuje się do budowy wspaniałego gmachu, w którym znajdzie naukę i pomieszczenie daleko większa liczba uczniów. Życzeniami, aby zakład wychowywał dzielnych obywateli i dobrych Polaków, zakończył ks. biskup swoje przemówienie, dziękując zarazem Ojcom Pijarom za ich starania i udzielając arcypasterskiego błogosławieństwa wszystkim pracującym przy budowie. Następnie imieniem radcy Sołtysika i grona nauczycielskiego zakładu składał nowej placówce serdeczne życzenia pomyślnego rozwoju prof. Riess, poczem zwiedzono ukończoną już kaplicę zakładową i wspaniały park, otaczający nowopowstający zakład wychowawczo naukowy.

Po uroczystości podejmowali OO. Pijarzy zaproszonych uczestników hojną gościną.

Nowemu zakładowi, który wypełni lukę, jaka z dawna już dawała się u nas odczuwać, życzymy, aby pielęgnując dawne świetne tradycye szkół pijarskich, rozwijał się nadal pomyślnie na pożytek naszego społeczeństwa i zyskał sobie w jak najszerszych kołach takie uznanie, na jakie ze wszech miar zasługuje!...



Realne gimnazyum OO. Pijarów w Rakowicach: Poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy budynek przez Najprzewielebniejszego ks. biskupa Anatola Nowaka, w obecności delegata namiestnictwa, radcy dworu Fedorowicza i zaproszonych gości.



Nowa **afera szpiegowska:** Leszek Wacław Sawicki.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Logogryf:

A e h
B y k
I g ł a
B a h i a
Z n i c z
M i n a
F e z
O w a l
K i j ó w
A e h o r
A z o t
G z y
E b r o
B y r o n
O s i k a
C z e k
S k i
K o ń

Zadanie konikowe: Kto pod kim dołki kopie sam w nie zwykle wpada.

Szarada: Podagra.

Zadanie do przestawienia: Pozna swój swego.

Arytmograf:

M
S a n
S t r y j
L a u j a n a
O k u l a r n i k
S a k u n t a l a
M a r g i e r
A g a p y
E w a
G a z
A l e
B r e v e
K o t w i c a
D o n K i c h o t
D e n u n c y a c y a
J a n C h r z c i c i e l

Szarada: Bałwany.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: J Lipski Kraków, H Frankowicz Jasło, M. Lewicka Kraków, Z. Radziński Rzeszów, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J. Czarkowski Stryj, M. Więckowska Warszawa, J. Michalski Jaworów, J. Czernecki Złoczów, K Armatys Kołomyja, J. Radoszewski Mielec, J. Ryś Rzeszów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, K. Schmidt Lwów, W. Laurecki Rzeszów, J. Lemiszewski Stanisławów, K. Darowski Piotrków, M. Kalinowska Lublin, O. Górkowa Chyrów, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, H Rosenbaum Mielec, S. Kaniewski Tarnobrzeg, J. Leszczyński Sanok, W. Thun Radom, K. Armatowicz Petersburg, K. Gliński Kołomyja, S. Hubaczek Tarnopol. M. Potocka Kraków, K Wilczkiewicz Sandomierz, W. Radwański Warszawa, M Kruszelnicka Tarnów, M Klappholz, Rzeszów, K. Ciszewski Radomyśl, J. Jakubowski Tarnów, D. Sedyńska Kraków, J. Łopatkiewicz Jasło, M. Pick Łódź, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, K Zerygiewicz Stanisławów, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań, K. Lisowski Kołomyja, J Wyka Rzeszów, W. Lipowski Jasło, H. Gromnicki Lwów, J. Zachara Mielec, S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Sanok, I Brzostowski Krosno, J. Strojek Kraków, M. Wojkowski Tarnopol, K Trojacki Wiedeń, L Sapecki Poznań, M. Karaś Zakopane, W. Urban Lwów, F. Jeziorski Oświęcim, S. Krzyżanowski Podgórze, K. Cegielski Jasło, F. Horak Oświęcim, M Wacławowicz Sanok, T. Nikiel Wiedeń, W. Świrski Sandomierz, M Bałuk Krosno, J. Jahoda Cieszyn, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Piątek Podwołoczyska, J Piasecki Złoczów, S. Ostrowski Tarnów, R. Bandrowski Częstochowa, K. Broda Drohobycz, A. Serwatowska Warszawa, J. Przeworski Toruń, J. Łopatyński Lwów, H. Zielińska Rzeszów, W. Dziedzic Kraków, A. Augustynowicz Kraków, B. Michalec Świątniki, M Sontag Piotrków, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Tarnopol, K Sadowska Kraków, J. Malinowska Winnica, J Czechowicz Tarnów, D. Krasowski Poznań, S. Krogulski Warszawa, H. Bernstein Warszawa, W. Hołubasz Stanisławów, D Łapiński Kraków, R Dąbrowski Janów, M. Gruszczyńska Sambor, J. Stępień Budapeszt. M. Antosz Kołomyja. W. Włodek Warszawa, J Wojciechowski Sanok. Z. Kisielewski Jasło, H. Bielawska Radomyśl, S. Dzierzyński Zakopane, M. Zęba Sanok, J. Popiel Rzeszów, R. Brandowa Jaworzno, M. Czeczótka Podłeże, M. Ołeksiukowa Holeszów, D. K. Tatara San Genesio, E. Bogdalska Koropuż, M. Serbeńska Budzanów, J Badura Rożdzień, M Arbesbauer Lwów, W. Siuta Widynów, K Fuchs Czeremchów, E. Krieg Jaworzno.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Kruszelnicka, Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Cyrk „Edison“ na Błoniach. W nader wygodnym i doskonale wentylowanym nowym budynku cyrku „Edison“ na Błoniach od soboty 8. bm do 15. bm. zupełnie nowy program Pierwszorzędne zdjęcia z natury. oraz odegrane przez najlepszych artystów. Celują jak zwykle Żurnal „Pathego“ zawierający najświeższe wypadki w świecie, oraz wielce komiczne zdarzenia z życia panny Rózi i Lorci, które się po raz pierwszy wybrały do teatru.

Równocześnie na żądanie P. T Publiczności donosimy, że przedstawienia wieczorne rozpoczną się o godzinie 8-mej wieczór.

Odpowiedzi Redakcyi.

WPan B. Michalec i Sp. Kraków: Nadesłanego sprostowania, jako nie odpowiadającggo wymogom ustawy, nie pomieścimy.

WP. J. Badura, Rożdzień: Osnute na prawdziwem zdarzeniu. Do dnia dzisiejszego żyją w okolicy Kosowa potomkowie Rewizorczuka. Bliższe wskazówki znaleźć można w artykule „Nowości Illustrowanych“ z dnia 1. kwietnia 1911. nr. 13. p. t. „Teatr huculski w Krakowie“.

Z półek księgarskich.

„Nasze zdroje“ w Nrze 4, wydanym już w charakterze oficyalnego organu krajowego Związku zdrojowisk i uzdrowisk, pod kierunkiem Komitetu redakcyjnego, z Drem Juliuszem Bandrowskim, jako redaktorem odpowiedzialnym, przynoszą nader bogatą treść, na którą złożyły się, wraz z całym szeregiem pięknych illustracyi, następujące tematy: Z rozpoczęciem wydawnictwa i sezonu. — Wybory do Parlamentu a Zdrojownictwo. — Z doby odrodzenia Krynicy. — Z kraj. Związku zdrojowisk i uzdrowisk — Sprawozdanie z czynności Zarządu Oddziału Czarnohorskiego Twa. Tatrzańskiego. — Sprawozdanie Twa. Tatrzańskiego. — Sanatoryum dla chorych piersiowych Dra Dłuskiego w Zakopanem. — Sztuka w zdrojowiskach i letniskach — Przegląd zdrojowisk (Delatyn, Ciechocinek). — Międzynarodowa wystawa hygieniczna w Dreźnie. — Nasze Komisye zdrojowe. — Wiadomości bieżące

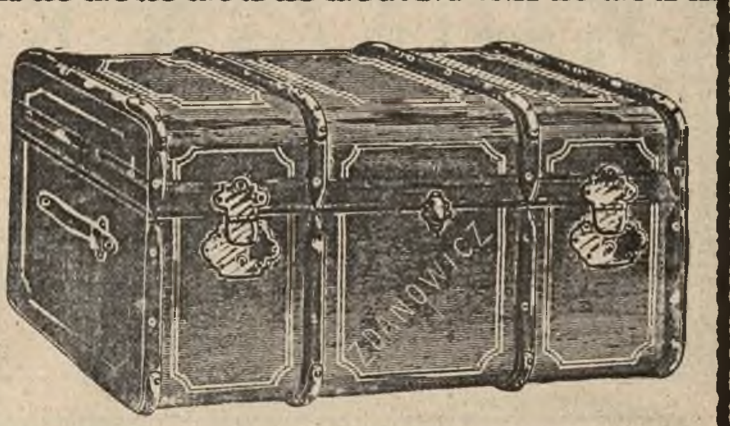


Zdzisław ZDANOWICZ

Kraków, ul. Sławkowska L. 3 (Hotel Saski)

Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Lwów :: ul. Halicka 21 **Lalki, Zabawki, Nowości** w Galanteryi, Mydła, Perfumerye Tlenu i francuskie poleca **Klinika i ubieralnia lalek we Lwowie.**



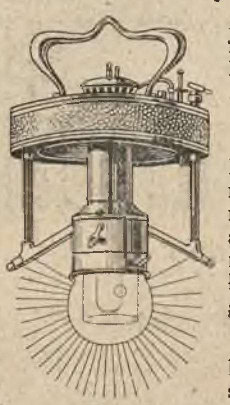
Posiadacze **koncesyj szynkarskich, właściciele gospód, sklepów, restauracyj,** mogą stworzyć sobie poważne źródło dochodu, gdy pobierają opłatę za grę na **Pathéfonie.** Nadto.

Pathéfon

ustawiony w lokalu, powiększa ściąg, przyciąga i zachęca ludzi do częstszego odwiedzania lokalu i do większej konsumcyi jadła i napojów. — **Pathéfon** gra i śpiewa, czysto, wyraźnie i głośno. Gra szafirem na bardzo trwałych płytach. — Doskonale gra do tańca! Kto ma Pathéfon, zawsze się dobrze zabawi! — **Dlatego spieszcie się z nabyciem Pathéfonu i nie dajcie się uprzedzić konkurentowi.** — Cenniki darmo i opłatnie

S. Grudziński i T. Berger, Kraków, ul. Szewska 10|2.

Światło spirytusowe „Wiktorin"



jest najlepszem, najdoskonalszem i efektownem światłem światowem dla wszelkich zapotrzebowań w życiu!

Zalety:

Minimalna konsumcya materyału, nieograniczone używanie, nieograniczona trwałość, absolutne bezpieczeństwo, niedorównana siła światła, łatwy transport, gustowny wygląd.

Patentowane we wszystkich krajach. — Odznaczone pierwszymi nagrodami.

Daleko idąca gwarancya.

Lampy i szkła w pięknym wykonaniu według osobnego cennika i prospektów.

FABRYKA TOWARÓW METALOWYCH

Wiktorin & Co.

Wiedeń V., Margarethenstrasse Nr. 120.
Skład wzorów Wiedeń VI., Magdalenenstr. Nr. 6.
Składy: w Bernie, Lichtensteingasse 2.
w Budapeszcie, Baross utca 1.

Każda Pani która o zdrową pielęgnacyę skóry dba, a przeważnie piegi zgubić chce, jak i miękką skórę i białą cerę utrzymać zamierza myje się tylko

Mydłem „Steckenpferd"

z mleka liliowego
(Marka ochr. Steckenpferd)

Bergmanna & Co., Tetschen a. E.

sztuka po 80 hal. do nabycia w aptekach, drogeryach i składach perfumeryi.

Radical-Katheter

przeciw **zapaleniu cewki moczowej i wypływowi** z najlepszym skutkiem w najkrótszym czasie działający. Użycie według Dra Cave. Zawsze pewny skutek. Sensacyjne! Sztuka K 6 za pobraniem. Cennik bezpłatnie. **Gummischlosser, Wiedeń IV.,** Schwarzenbergplatz 15|D.

NAJLEPSZA CZEKOLADA Z FABRYKI ADAMA PIASECKIEGO, KRAKÓW
UL. DŁUGA L. 12. - FLORYAŃSKA 2.
PROSZĘ ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

Bardzo ważne dla Panów

Przy świeżym i przestarzałym wycieku okazały się niezrównane:

Dra Leras'a

Injekcye Palmyren à K 3·—
Santal Palmyren à K 2·50.

Dr. J. L. w G. pisze nam: Pańskie przetwory, zastosowane u moich pacyentów, są znakomite, zupełne wyleczenie nastąpiło w 7 dniach.

Do nabycia we wszystkich aptekach. Proszę żądać wyraźnie **Dra Lerasa Palmyren.**

Kraków: Apteka Grabowskiego.
Lwów: Apteka pod srebr. orłem K. Dülla.
Przemyśl: Apteka M. Schwarza. „En gross": W wielk. drogueryach.

---

4 tygodnie na okaz i próbę!



wysyłam moje rowery marki „Bohema".
Naprawy najtaniej. — Dogodne warunki spłaty. — Illustrowane cenniki gratis i franko.
Franc. Dušek fabryka rowerów, **Opočno** Nr. 113 u. kol. państwowej (Czechy).

Bieliznę męską białą i kolorową ze słynną marką



poleca Magazyn Nowości i Kapeluszy
A. Skórczewskiego i Polakiewicza
Kraków, ul. Floryańska l. 13.

Jaszczurówka, Zakopane.

Restauracya — Cukiernia — Kawiarnia

Władysława Kowalskiego

poleca

ciasta własnego wypieku, kawa wyśmienita oraz nalewki własnego wyrobu.

ZAKŁAD KRAWIECKI

JÓZEFA NOWORYTY

w Krakowie, ulica Sławkowska L. 30.

Najlepsze doskonale tresowane



PSY wszystkich ras do polowania

od 130 kor. wzwyż do stróżowania i obrony od 70 kor, największe olbrzymy (do 90 ctm.) od 110 kor. wzwyż.
Najmniejsze karzełki (tylko 12—18 ctm.) od 55 kor. wzwyż dostarcz. 14 dni na próbę, z dostawą do domu.

Największy eksport psów „Flora Repora" koło Pragi (Czechy).

Wspaniale illustrowane katalogi psów i cennik w polskim i niemieckim języku z 36 fotografiami wszelkich gatunków psów, prześlemy każdemu odbiorcy opłacony i polecony, za przesłaniem tylko 60 hal. w markach poczt.

Nigdy niewracająca sposobność!

Niech każda pani zakupi!

Batyst jedwabny z bogatym haftem kompletny na 1 bluzę tylko **Kor. 3·50**



Wspaniale piękne!

Do nabycia w najpiękniejszych kolorach jak: **biały, jasno-niebieski, różowy, ecru, lila i czarny.**

Z powodu wykonania **całego miliona bluzek batystowych** jesteśmy w możności, kompletne te bluzki, z bogatym haftem

po kor. 3·50

dostarczyć, zamiast po **kor. 6·—**

Przy odbiorze 3 sztuk, razem tylko **9 K 80 h,** a oprócz tego dodajemy **za darmo** piękny żabot koronkowy.

Sprzedaż wyłączna - za zaliczką:

Henryk Kertesz, Wiedeń I., Wollzeile 34—XV.

Dla Panów

Artykuły Hygieniczne gumowe i rybie 12 sztuk sort. I jakości pod gwarancyą Kor. 3·— i 4·—
Przy odbiorze 3 tuzinów daję flakon perfum w dowolnym zapachu **gratis.** Wysyłki odwrotną pocztą uskuteczniam

L. Korzeniowski, Kraków, ul. Floryańska L. 22.

Konrad Ściborowski Kraków, Floryańska 13 obok firmy (Skórczewski i Polakiewicz)

Magazyn nowości i strojów damskich poleca **wielki wybór bluzek, halek, szlafroczków, kostyumków, spodniczek, żabotów, boa strusich, kołnierzyków damskich, woalek, pasmanteryi tiulów, gaz, torebek skórzanych i pompadurek** etc. etc., po cenach umiarkowanych.

Pierwszorzędna Cukiernia w Krakowie w Sukiennicach

J. Noworolskiego i Ski przedtem Rehman i Hendrich.

Po gruntownem przerobieniu i powiększeniu lokalu w stylu nowoczesnym **została otwarta** dla P. T. Publiczności.

TOWAR DOBOROWY.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Winowajcy i zbrodniarze
Pierwsze — drugie znają,
Drugie wsteczne z pierwszem wszyscy
Z biblii pamiętają.

Drugie z pierwszem łatwo poznasz,
We wodzie przebywa,
Człek go często jako przysmak
Wyborny spożywa.

Drugie-trzecie, to u żydów
Osoba ceniona
A drugie, trzecie i pierwsze
To jest jego żona.

Całość straszna, choć nieżywa,
Wciąż o niej słyszycie
Sieje wokoło zniszczenie
I odbiera życie.

Kwadrat magiczny.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Litery, wstawione w miejsce kwadratów, utworzą nazwisko znanego współczesnego muzyka polskiego.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Roślina. 3 Jarzyna 4. Stara baśń. 5. Szukany wyraz 6. Ptaki śpiewające 7 Rodzaj ciastek. 8. Wykrzyknik. 9. Spółgłoska.

Zadanie konikowe.

Ułożył St. Lipiński, Kazimierz nad Wisłą.

cin	west	niej	nia	wskrze	cie	no	zbior
szych	pio	idź	śli	na	ku	słe	la
ły	kry	chnie	daw	świe	wo	ki	mad
sen	dom	my	cie	się	ki	ta	ku
w u	ma	re	po	wy	brym	gro	rę
świad	ki	łem	ro	do	do	ży	ły
dom	trzy	już	kto	do	i	lu	nej
co	ki	cych	ma	dziom	jed	idź	cin

Zagadka.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Koło chaty zwykle pierwsze
Znajdziesz przecie,
A drugiego zaś poszukaj
W alfabecie.

Całość jest to rybka mała,
Zna się z wędką,
Zdaje mi się, że odgadnie
Każdy prędko!

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła B. Rutkowska, Piotrków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
A z e w, d o, d o z ó r, w n, K u b a, k o n i n a, r.

Logogryf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy nowoutworzonych wyrazów, czytany z góry na dół, podał nam nazwisko miasteczka w Galicyi Wschodniej.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj włóczni. 2. Zwierzę znane myśliwym. 3 Roślina aromatyczna. 4 Rodzaj tkaniny. 5. Szerokie ujście rzeki. 6 Większa łódź z równemi burtami. 7 Część składowa ludzkiego ciała. 8. Ptak z rodziny jaskółek. 9 Pospolity minerał. 10. Ułańska pika z chorągiewką. 11. Fałszywy blask.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Pierwsze bywa w karnawale
Drugie z kreską zwierz domowy,
Całość jest na kamienicy
Od strony frontowej.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
P o g o d a, k o s, d y n i a, G a w e ł, o s i, m o d ł y, g o ś ć.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
T ł o, s e n, k i w i, ż e t.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Kościelskiej:* **Snoby.** Powieść.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego.